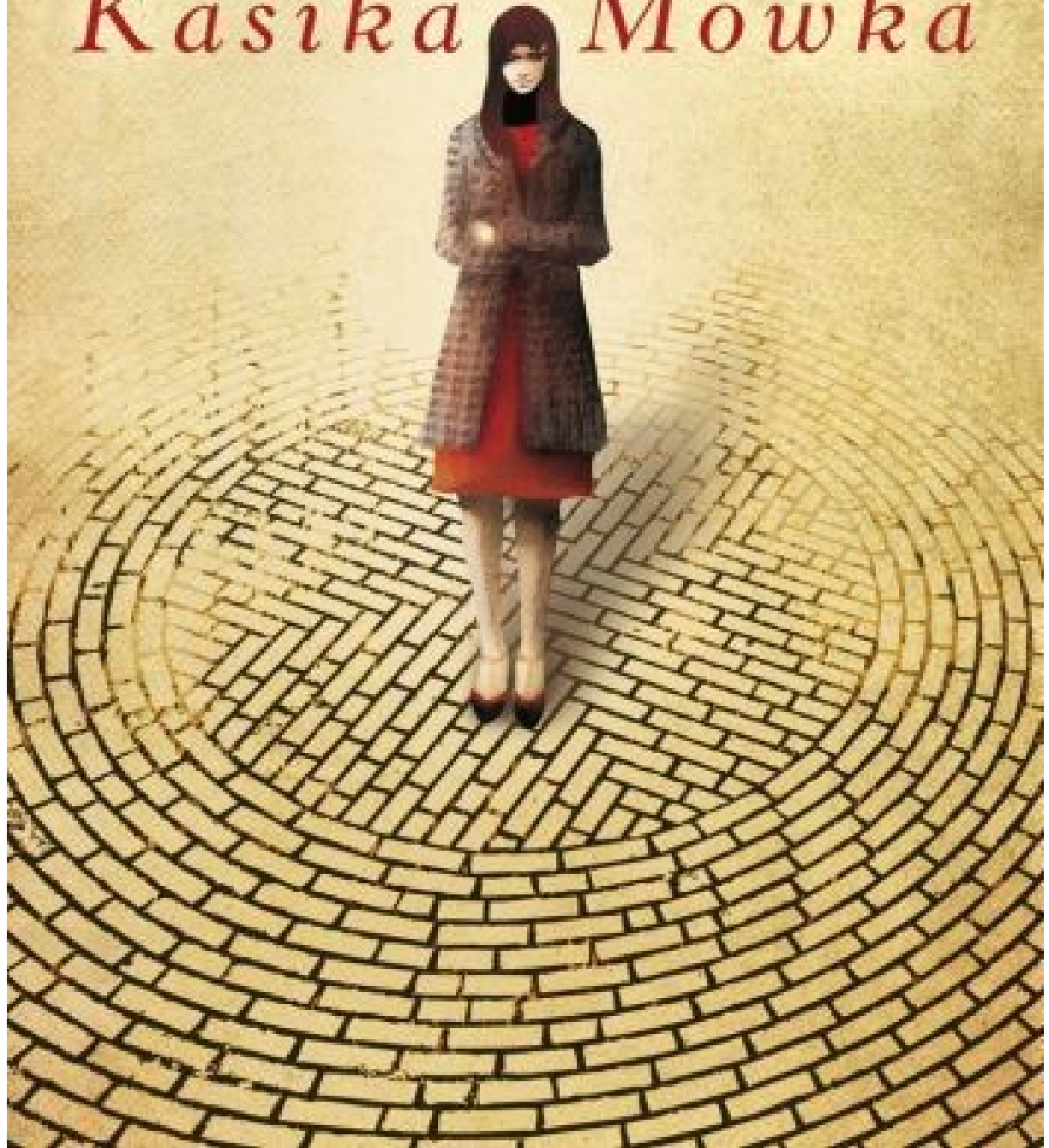




Katarzyna T. Nowak

Kasika Mowka



Katarzyna T. Nowak

Kasika Mowka

„Lęk ciąży nad tymi wspomnieniami.

Ustawiczny lęk.”

Philip Roth.

- Kasika Mowka.

- Kto? - Babcia patrzy na nią badawczym wzrokiem, zaskoczona.

- No, Kasika Mowka. Czyli ja.

- Mhm, postanowiłaś tak się nazywać?

- Tak - mówi dziewczynka i pokazuje babci swoje zeszyty pierwszoklasistki, starannie podpisane tym nowym imieniem i nazwiskiem. Podpisała też ulubione książki.

NIKT, nikt na całym świecie na pewno tak się nie nazywa. Wcale długo tego nie wymyślała. Imię wraz z nazwiskiem pojawiło się nagle w jej głowie, jakiegoś wieczoru, gdy robiła swoje codzienne notatki w zeszycie i miała się podpisać.

Pióro samo napisało: KASIKA MOWKA.

To PRAWDZIWE imię i nazwisko wyjawiała tylko babci i zeszytom w linię.

- Nikomu nie możesz o tym powiedzieć. Przymknij.

- Przymknę - powiedziała uroczyście babcia i obie poczuły się szczęśliwe.

- Nawet mamie. Albo tacie - dodała dziewczynka.

- Przecież ty nie masz mamy i taty - roześmiała się babcia, ale w jej oczach pojawiła się czujność. - Ja nimi jestem.

- Dla Kasiki Mowki - szybko powiedziała dziewczynka i odwróciła twarz.

Tak naprawdę nie wiedziała, ile babcia ma lat, może sześćdziesiąt. Babcie są zawsze w jednym i tym samym wieku. Przynajmniej te prawdziwe.

Mają siwiejące włosy zaczesane w kok, małe, pomarszczone, ciepłe dłonie i w ogóle całe są drobne.

Bywają też babcie grube, ale one też są nieduże.

Teraz, kiedy już nazwała siebie, nie potrzebowała rodziców, takich jakich mają koleżanki w klasie, złożonych z dwóch osób odmiennej płci. Kasiki takich nie mają. Kasiki są wyjątkowe.

Uspokojona logiką i precyzją tej myśli dziewczynka poszła do łazienki, a tam czekała na nią babcia.

Wieczór - czas na długi, niezmienny rytuałkąpiel. W wannie gorąca woda, jaką lubi. Babcia zdejmuje z niej sukienkę, schyla się, by zsunąć z jej stóp pantofle, i wyciąga do wnuczki rękę. Kasika podaje swoją i wchodzi do wanny. Staje na środku i unosi ramiona prostopadle do ciała jak strach na wróble. Czeką, aż babcia namydli gąbkę i zacznie ją myć. Dopiero potem może zanurzyć się w parującej wodzie.

Babcia siada obok wanny, na krzeselku, bierze książkę i zaczyna czytać. Dokładnie piętnaście minut.”Siedzenie w gorącej wodzie dłużej niż kwadrans jest niezdrowe”, mawia. Więc po piętnastu minutach zamyka książkę, a Kasika wstaje. Babcia dużym ręcznikiem wyciera dokładnie dziewczynkę.

Nakłada na gołe ciało wnuczki ciepły biały szlafrok frotte, a na stopy pantofle, bierze szczotkę i rozczesuje jej długie włosy. Po tym zabiegu Kasika wreszcie może pójść do przygotowanego łóżka, ze świeżą, pachnącą pościelą, i zostać w nim aż do poniedziałku rano, kiedy to trzeba iść do szkoły.

Na poduszce leży jej zeszyt w linie, z którym się nie rozstaje, pióro i książka. I oczywiście ukochany pluszowy lew, w którego brzuchu jest schowek zapinany na rzep. Dostała go od matki chrzestnej, która chyba też nie istniała.

Babcia sprząta łazienkę, robi w kuchni kakao i z tacą, na której stoją dwa kubki, wchodzi do pokoju. Zaczynają wieczór.

Dziewczynka otwiera książkę i czyta, a babcia pilnie słucha, wyjaśniając trudniejsze słowa. Wymawia je głośno i tłumaczy ich znaczenie.

„Mała księżniczka tak bardzo pragnęła miłości...”

- Czy ja pragnę miłości? - pyta dziewczynka.

- Ty? - uśmiecha się babcia. - Ty masz wszystko.

Po czym kładzie się obok, chwyta wnuczkę za rękę. I tak co wieczór, co noc.

Tylko dotyk babcinej dłoni i światło małej lampki w kącie pokoju sprawiały, że dziewczynka zasypiała. Gdy babcia wypuściła jej dłoń, natychmiast budziła się z krzykiem, przerażona. Wydłużone przez światło lampki cienie na ścianach i meblach przybliżały się i rosły. Dziecko krzyczało, a babcia znów mocno zaciskała małą rączkę w swojej, jak muszla chroniąca perłę.

- Nigdy, przenigdy nie gaś lampki i nie wypuszczaj mojej ręki - mówiła poważnie dziewczynka.

Ciemność była ogromna niczym ocean, który widziała w telewizji. Wszystko mogło w niej być i wszystko mogło się zdarzyć.

„Czy ciemność to brak światła, czy światło to brak ciemności? Kasika Mowka”, zapisała w swoim zeszycie. Wtedy posłano ją do szkoły. Dzieci w przedszkolu nie potrafiły tego, co ona. Bawiły się zabawkami, układały piramidy z klocków lego, ubierały swoje lalki.

Kasika nie miała wielu zabawek. Fascynowały ją słowa. W wieku dwóch lat mówiła całymi zdaniami; rok później płynnie czytała i pisała. Zawdzięczała to babci, ale nie wiedziała o tym.

Nie, nie była cudownym dzieckiem. Cudowne dzieci w wieku pięciu lat komponują symfonie, a ona tylko potrafiła czytać i bezbłędnie pisać. Zapisywała całe zeszyty wymyślanymi historiami, a babcia chowała te zeszyty do komody.

Właśnie skończyła opowieść o królownie zamkniętej w wieży. Wieża stała na pustkowiu, a jej szczyt sięgał chmur. W pomieszczeniu nie było okien ani drzwi. Królowna myślała, że pewnego dnia zjawi się książę i ją uwolni, ale jak miał się tu dostać, nie wiedziała. Aż nagle, kiedy już traciła nadzieję, zauważyła, że w murze powstała szeroka szczelina. Dziewczynka zatytułowała opowieść Drzwi w murze i zadowolona odłożyła zeszyt. Gnębiła ją wprawdzie myśl, jak królowna wyskoczy z tak wysokiej wieży, ale postanowiła się tym nie

martwić. Ważne, że dała jej wybór.

Kasika miała też, jak mawiała babcia, „coś, czego inni nie mają, coś, co trudno określić słowami, coś jakby dar”. Nie rozumiała tego, ale zgadzała się z tym. Przecież nieraz w jej głowie błyskawicznie pojawiała się i znikaało zdjęcie z przyszłości.

Przed snem babcia czytała jej baśnie braci Grimm, Christiana Andersena, a potem ona czytała to samo babci. Znała na pamięć całe rozdziały.

Gdy historie bohaterów baśni ją zasmucały, sięgała po Alicję w krainie czarów i zafascynowana czytała o herbatce u Kapelusznika. Marzyła, by się tam znaleźć. Alicja przerażała ją tylko wtedy, gdy niespodziewanie odzyskiwała swój naturalny wzrost w najbardziej nieoczekiwanych momentach, na przykład w maleńkim domku królika.

Kasika lubiła żyć życiem bohaterów książek i swoich opowiadań, więc pewnej nocy TO się stało. Jej dłoń spoczywała w ciepłej dłoni babci, lampka oświetlała pokój, ale TEMU to nie zapobiegło. Nagle, bardzo fizycznie i psychicznie, poczuła, jak jej wzrost zmniejsza się do kilku centymetrów, podczas gdy reszta, to co wewnątrz i w głowie, pozostaje bez zmian. Zwłaszcza w głowie. I choć leżała w łóżku, czuła siebie idącą po podłodze i wiedziała, że zaraz eksploduje. Ale za chwilę wszystko mijało.

Nie powiedziała o TYM babci, mimo że TO powracało nawet w dzień, zwłaszcza kiedy dziewczynka czymś się bardzo zdenerwowała. Ale w przeciwieństwie do ciemności potrafiła nad TYM panować, odgonić jak muchę, tak by nie doszło do eksplozji. Kilka razy ze strachu wymknęło jej się:

„Kurczę się! Kurczę!”, ale szybko okłamała babcię, że śniło jej się, iż jest Alicją w domku królika.

Wkrótce doszło jeszcze coś. Leżąc w półmroku rozświetlanym przez lampkę, czuła, jakby przykryto ją nie miękką kołdrą, lecz kawałkiem bardzo twardej deski. I to coś mijało po chwili.

To były stany Kasiki Mowki, nie szukała dla nich wyjaśnień. Miały trwać

jeszcze przez wiele lat, tak jak paniczny lęk przed ciemnością, który z wiekiem tylko się nasilał, tak że już wieczorem zapalała wszystkie lampy, siadała na łóżku, w samym rogu pokoju, i obserwowała otoczenie. Najgorzej było zimą. Panika pojawiała się już po południu, gdy zmrok ledwie się przybliżał. Mimo zasłoniętych szczelnie okien i zapalonych lamp wiedziała, że JEST. Ciemność otwierała bramy, żaden zamek ani lampa nie mogły powstrzymać tego, co się uwalniało.

Babcia wiedziała jedynie o ciemności. Tamte dwie rzeczy, które nazwała "deską" i "eksplozją", zachowała dla siebie. Nie potrafiłaby tego opisać, a gdyby nawet - to wiedziała, że nikt jej nie uwierzy. Albo gorzej - trafi do lekarza, który też nic nie zrozumie.

Nauczycielom ze szkoły nie mogła się zwierzyć dopiero by się zdziwili. Mimo że pracowali w klasie dla "dzieci szczególnie uzdolnionych" - połowa była rzeczywiście utalentowana, a połowa spełniała jedynie marzenia rodziców - Kasika była pewna, że nie poświęcą jej chwili.

Każdego ranka, poza sobotą i niedzielą, babcia wносиła na tacy śniadanie, które dziewczynka zjadała w łóżku. Potem wnuczkę ubierała, myła, czesała, wiązała jej buty, pakowała szkolną torbę i odprowadzała do granicy Plant. Dalej Kasika szła sama, do szkoły było może sto metrów. Kiedy babcia oddaliła się na bezpieczną odległość, dziewczynka siadała na ławce i czekała. Wiedziała, że za chwilę pojawi się pani z wielkim bernardynem, z którym Kasika się przyjaźniła. Pies odprowadzał ją pod budynek szkoły i lekko spóźniona wchodziła do klasy.

Czasami babcia robiła coś dziwnego. Zjawiała się w szkole już po trzech lekcjach i zabierała ją do domu, mimo że miała jeszcze czwartą.

- Dlaczego? - złościła się dziewczynka. - Nie chcę jeszcze iść do domu! - Ale babcia była uparta.

- To bardzo ważne. Chodźmy. - Ciągnęła dziewczynkę, niemal biegnąc przez park.

W domu od razu zabierała się za pieczenie sernika, ulubionego ciasta

Kasiki, i włączała głośno telewizor albo radio. Mimo to dziewczynka usłyszała pewnego dnia ostre, natarczywe pukanie do drzwi i rzuciła się, by je otworzyć. Babcia zagroziła jej drogę i zamknęła w pokoju. Ktoś pukał i pukał, wołał ją. Znała chyba ten głos.

- Proszę stąd odejść. Niech pan odejdzie i nie wraca! - wołała babcia przez drzwi.

- To tata! - wołała też dziewczynka i w szale wściekłości rozrzucała po pokoju książki, zeszyty, darła kartki i kopała meble.

- To obcy człowiek - upierała się babcia.

Po domu rozchodził się zapach sernika i Kasika milkła. Gdy jadła ciasto, jeszcze ciepłe, prosto z pieca, udawała, że nie widzi, jak babcia otwiera drzwi i podnosi z wycieraczki pudełka obwiązane kolorowymi wstążkami. A potem wsadza je do siatki i schodzi na podwórko, do śmietnika. Bardzo chciała wiedzieć, co jest w pudełkach, ale bała się, że babcia schowa sernik i nie pozwoli jej go zjeść.

Nauczyła się nie wspominać o pudełkach.

Ale któregoś dnia, gdy znów się pojawiły a dni tych było coraz mniej - udało jej się wymknąć i otworzyć jedno z nich. W środku była zabawka - małpka, która w łapach trzymała talerze.

Z tyłu miała guzik ukryty zmyślnie w futerku, po którego naciśnięciu zaczynała rytmicznie uderzać talerzami. Perkusistka! Dziewczynka ukryła małpkę w pluszowym lwie, w schowku zapinanym na rzep.

Dobra kryjówka. Nie zastanawiała się, czy babcia odkryje, co zrobiła, bo nie bała się babci. No, może czasami, gdy pojawiali się ci niespodziewani goście, ci "obcy". Babcia stawała się wtedy naprawdę zła. "Mama" też. Dziewczynka zamknięta w swoim pokoju słyszała ich głośną, urywaną rozmowę.

- Byłam w szkole - ostry, wysoki głos. - Kiedy inne dzieci przebierają buty, ona stoi nieruchomo i czeka.

- Nauczyłam ją czytać i pisać. Nie musi wiązać sobie butów. Ja to robię - ostry, niski głos.

- Ośmiesz się w szkole! Gdy będzie miała dziesięć lat, też będziesz wiązała jej buty?

- To nie twoja sprawa. Ja ją wychowuję.

- Robisz z niej kalekę!

- Nieprawda. Jest bardzo zdolna.

- Niiieee! Ja muszę coś z tym zrobić! - krzyczała "mama" i trzask drzwi kończył tę niepokojącą wymianę zdań.

Babcia otwierała drzwi do pokoju, wchodziła i, bacznie obserwowana przez dziewczynkę, zażywała jakieś tabletki.

- Babciu.

- Daj mi chwilę spokoju - prosiła cicho babcia. - Muszę odpocząć.

- Ja wiem, kto to był.

Babcia milczała.

- Dlaczego nie mogę się z nią zobaczyć? - dociekała dziewczynka.

- Z kim? Nikogo tu nie było. Nikogo.

Czy widziała kogoś? Nie. Na pozór uspokojona otwierała swoją książkę, by wypić herbatkę u Kapelusznika. Czuła jej smak i zapach. Ale czuła jeszcze coś, strach przed słowem "nikogo", sprzecznym z tym, co słyszała. Czy nieistniejące osoby mogą zostawiać całkiem realne przedmioty?

* * *

Mieszkanie było ogromne, o wiele za duże dla dwóch drobnych osób. Łatwo było przeoczyć czyjąś obecność, ale nie można było jej nie wyczuć.

Kasika jakimś cudem przeczuwała te wizyty "obcych"; nagle w jej głowie pojawiał się błysk: "dzisiaj ktoś przyjdzie". Lub: "coś się zdarzy" jak mgnienie, jak mrugnięcie.

W niewielkiej kuchni stał stary piec, z którego babcia wyjmowała nieraz pachnący bochen chleba i przy którym można było siedzieć godzinami i grzać

się, niemal zapadając w drzemkę. Babcia często tam drzemała. Dziewczynka sprawdzała, czy drzemka jest mocna - nasłuchiwała, czy z ust babci dochodzi pochrapywanie. Chowala się wówczas w swoim pokoju i próbowała połączyć sznurówki butów tak, by wyglądały jak kokardka. Próbowała wiele razy, ale to było trudniejsze, niż myślała. - W końcu się nauczę - mówiła sobie. I nauczyła się, ale przed babcią udawała, że nie potrafi; wiedziała, że ta nagła samodzielność sprawiłaby jej przykrość.

Kłopot był również z nożem. Przy obiedzie łyżką i widelcem posługiwała się bez trudu, ale nigdy nie miała w ręce noża. Kiedy jeden jedyny raz chwyciła go, by poczuć jego ciężar, babcia natychmiast gwałtownie wyrwała jej nóż z ręki. Zatem był groźny.

Ale przecież kroił chleb i dzięki ternu miały pyszne duże kromki posmarowane masłem. Był więc i dobry.

Kiedy parę lat później babcia upadła i złamała prawą rękę, kłopot powrócił. Na stole w jadalni leżał chleb. Obok nóż. Babcia wzięła go do lewej ręki - prawą miała w gipsie - i usiłowała ukroić kromkę. Ale nóż zjeżdżał z chleba to w lewo, to w prawo, to gdzieś na skos, aż spadł na podłogę.

Wściekła schyliła się, podniosła go i popatrzyła na dziewczynkę,

- Musisz mi pomóc - powiedziała. - Trzymaj mi tę rękę w gipsie.

Palce miała na wierzchu. Kasika kierowała gipsem w przód i w tył jak kraljnicą i wreszcie na stole pojawiły się nierówne, postrzępione kromki.

Mogły jeść. Babcia tak się zmęczyła, że usiadła zasapana i znów zażyła swoje tabletki.

Dziewczynka o nic nie pytała. Skoro nie może dotykać noża, to go nie dotknie. Jediną rzeczą, na którą babcia jej pozwalała, było wycieranie umytych talerzy ściereczką. Robiła to, dopóki jeden nie wypadł Kasice na podłogę i rozbił się na setki drobnych kawałków.

- Mój Boże, coś ty zrobiła! - zawołała babcia. - To prawdziwa porcelana po twojej prababce.

I więcej dziewczynka nie wycierała talerzy.

Nigdy też nie ścieliła łóżka, nie prała swoich ubrań, nie myła się sarna ani nie czesała. Babcia robiła to znacznie lepiej i sprawiało jej to wyraźną przyjemność. Zatem widocznie tak miało być.

Nie nudziły się ze sobą, choć świat dziewczynki ograniczał się do babci, mieszkania, podwórka, sąsiadów, którzy sadzili w ogródku kwiaty, warzywa i w kółko powtarzali "Jezus Maria" albo "O mój Boże", podobnie jak babcia.

Aha, i jednej dziewczyny, którą babcia bardzo lubiła i pozwalała jej przychodzić do nich na obiady i kolacje. Kasika jej nie znosiła. Była starsza od Kasiki i wyższa, i wcale nie z jej klasy ani nawet szkoły, tylko mieszkała w sąsiedniej kamienicy.

Kasika poznała ją, gdy pewnego ranka wyszła jak zwykle do szkoły i nagle pod bramą pojawiła się ta dziewczyna i spytała, czy może ponieść jej teczkę.

Kasika zgodziła się; teczka była ciężka. Opowiedziała jej, gdzie mieszka i z kim, do której chodzi klasy i co lubi robić.

- Pisać i czytać? - zdziwiła się tamta.

- Tak. I wymyślać historie - dodała Kasika.

- Każdy wymyśla. Ale czytać? Pisać? Ja nie lubię - skrzywiła się. - To takie męczące. Poza tym ja piszę inaczej niż wszyscy.

- Jak to? - zapytała Kasika, która uważała, że nikt oprócz niej nie może robić czegoś inaczej niż wszyscy.

Usiadły na ławce w parku, Kasika wyjęła zeszyt, pióro i podała nowej koleżance. Zafascynowana zobaczyła, jak ta bardzo szybko pisze coś zupełnie nieczytelnego, a jednak były to litery.

- Poczekaj - poleciła dziewczyna, wyjęła z kieszeni lusterko, przyłożyła do kartki i wtedy Kasika odczytała w lusterku wyraźnie zdanie: "Tylko tak umiem pisać".

Paźniej próbowała zrobić to samo, ale jej się nie udało. Trudno,

pomyślała, do niczego mi to niepotrzebne. Zabrała teczkę i odeszła.

Gdy wróciła do domu, dziewczyna już na nią czekała. Drugiego dnia także. I kolejnego. To nie spodobało się Kasice, nagle ktoś zaczął zagrabiać jej czas. Zaczęła unikać koleżanki. Rano na jej widok puszczała się biegiem.

Kiedys, po lekcjach, zamiast wrócić do domu, poszła z koleżanką z klasy, Ulą, do jej mieszkania.

Nikogo nie było, więc bawiły się, wydzwanając do różnych obcych ludzi, wybranych na chybił trafił z książki telefonicznej. Wygadywały bzdury, zmieniając głos, i zaśmiewały się do łez. Tarzały się ze śmiechu. I wtedy zadzwonił telefon. Podskoczyły przerażone. Ula z lękiem podniosła słuchawkę i z ulgą oświadczyła:

- To tylko twoja babcia.

Babcia była zła i smutna. Powiedziała, że dziewczyna z sąsiedztwa czeka już od dwóch godzin i Kasika ma natychmiast wracać. Gdy wnuczka wróciła, babcia zabroniła jej odwiedzać te głupie koleżanki z klasy.

- Masz stąd wyjść - powiedziała Kasika do dziewczyny z sąsiedniej kamienicy, nie zwracając na babcię uwagi. - Wyjdz i nie wracaj.

Dziewczyna wybiegła. Babcia patrzyła w skupieniu na wnuczkę, takiej jej nie znała.

Na drugi dzień rano dziewczyna nie czekała jak zwykle pod bramą kamienicy. Kasika była z tego zadowolona, ale i trochę zawiedziona, bo teraz sama musiała targać ciężką torbę z podręcznikami. W szkole odkryła, że jej ulubione pióro zniknęło! Trzymała je w czarnym etui, owinięte miękką szmatką. Babcia długo zbierała pieniądze, by je kupić.

Wybiegła z klasy i wściekła minęła Planty. Stała bezradnie przed sąsiednią kamienicą. Nie znała nawet numeru mieszkania tej dziewczyny. Weszła więc na klatkę i zaczęła pukać do różnych drzwi.

Na korytarzu było ciemno i brudno. W końcu jakaś starsza pani uchyliła drzwi i powiedziała, że ta dziewczyna razem z rodzicami wyprowadziła się, a

może nawet opuściła miasto.

- I bardzo dobrze - dodała, zamykając drzwi.

Do domu Kasika wróciła roztrzęsiona i zapłakana. Ta dziewczyna ukradła jej pióro! Babcia czekała zmartwiona, bo znowu zadzwonili ze szkoły, informując, że wnuczka opuszcza lekcje, ale kiedy zobaczyła Kasikę, przestała myśleć o szkole. Upiekła sernik, dała jej kilka zaostrzonych ołówków, a na drugi dzień już czekało na nią nowe, piękne, może nawet jeszcze piękniejsze od tamtego, pióro.

W czarnym etui.

Od tego dnia dziewczynka przestała chodzić do szkoły. Było to wygodne rozwiązanie i dla niej, i dla nauczycieli, i dla całej klasy. Prawdopodobnie wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy Kasika po raz ostatni przekroczyła próg szkoły, mówiąc głośno do wychowawczynie: „Do widzenia, pani Mucho” - bo tak się nazywała nauczycielka - wzbudzając chichot w klasie. Zrobiła to specjalnie, mimo że lubiła tę kobietę.

To dyrektor szkoły zaproponował, by dziewczynka przeszła na indywidualny tok nauczania, w domu. Przyczyną była według niego nie tylko wyjątkowa inteligencja i bystrość, którą w widoczny sposób przewyższała rówieśników, ale - i może głównie - totalne lekceważenie, jakie okazywała szkolnym zakazom i nakazom. Na lekcjach z przedmiotów ścisłych, jeśli w ogóle raczyła się pokazać,

„myślami była gdzie indziej, czego nawet nie ukrywała”; „wychodziła w środku lekcji, nie pytając o zdanie ani nie mówiąc, dokąd idzie”; „niekiedy, zapytana, wyraźnie nie kontaktowała, zajęta pisaniem czegoś w zeszytach, który ukrywała przed nauczycielami”; „równie zdolna co leniwa, outsiderka, nieprzystosowana do życia w grupie”.

- Podoba mi się zwłaszcza „outsiderka” oznajmiła Kasika, czytając notki na swój temat. - Co to oznacza?

- To komplement - odpowiedziała krótko babcia.

- Tak myślałam - odparła zadowolona dziewczynka i poszła do pokoju, by poszukać dokładnego wyjaśnienia w encyklopedii.

Pokój należący do babci był ogromny. Wszystkie ściany zajmowały półki pełne książek. Przy niektórych stały drabinki. Książki leżały też na komodzie i sekretarzyku, przy którym Kasika lubiła siadać po turecku na starym, wielkim krześle z oparciami i robić notatki lub pisać opowiadania. Najczęściej w zeszytach, choć stał tu też komputer, który babcia sprawiła jej na urodziny. Dziewczynka korzystała z niego sporadycznie, najczęściej aby tak jak teraz - znaleźć coś w internetowych encyklopediach.

„Outsider: człowiek pozostający na uboczu społeczeństwa, nie angażujący się bezpośrednio w bieżące sprawy. Takie zachowanie może być w pełni świadomym działaniem człowieka nie godzącego się na normy, zwyczaje, prawa lub mody aktualnie panujące w społeczeństwie, bądź wynikać z alienacji przez społeczeństwo jednostki niezdolnej do życia w grupie”.

- Zgadza się - skwitowała z uśmiechem.

Wiedziała dzięki Internetowi, że pojawiająca się w jej myślach migawka, błysk, to prekognicja. Dotyczyła ona jednak tylko najbliższej przyszłości, zaledwie godzin, podczas gdy u innych mogła wybiegać o kilka lat naprzód.”Ci drudzy mają gorzej - pisała w zeszycie - współczuję im. Mogą zobaczyć wielki pożar, wypadek, śmierć, którym nie zdołają zapobiec”. Miała równy, staranny, nieco pochylony w prawą stronę charakter pisma.

Notowanie w zeszytach miało w sobie moc, oddawało nastrój danego dnia; było prawdziwsze i trwalsze niż pisanie w komputerze. Komputer mógł się zepsuć, zeszyt nie. Każdy z nich był taki sam: w linie, oprawiony w czarną okładkę z gumką. Kasika używała pióra lub ołówka, w zależności od rangi i znaczenia tego, co zapisywała. Tak więc ołówek służył głównie różnym cytatom, a pióro własnym zapiskom, opowiadaniom, czasem kawałkowi wiersza. Kasika nie lubiła wierszy, poza poematami T.S. Eliota czy Yeatsa. U tego ostatniego natrafiła na wers”mordercza niewinność morza”, który ją

zafascynował. Podobnie”morderczo niewinna” wydawała się ciemność.

Odkąd przestała chodzić do szkoły, nie pojawiały się już żadne koleżanki. Nie przeszkadzało jej to.

Przeciwnie, miała więcej czasu dla siebie i nie musiała wysłuchiwać idiotycznej paplaniny o chłopcach. Ula i jej dziecinna zabawa z telefonem wydawała się odległa o lata świetlne. Zresztą Kasika nie była lubiana w szkole, o czym doskonale wiedziała.

Trzymała się na uboczu niczym bystry obserwator.

Była najładniejszą dziewczynką w klasie i o tym też wiedziała. Uroda pomagała jej trzymać innych na dystans.

Wyłączyła komputer, podeszła do jednej z półek i wspięła się na drabinę. Książki ułożone były alfabetycznie. Babcia już nie ingerowała w jej lektury i oddała wnuczce do dyspozycji swoją bibliotekę.

Było tu również piękne, stare łóżko, ale Kasika stanowczo odmawiała spania w nim. Nawet jeśli czas spędzany w bibliotece przedłużał się do godzin nocnych, zapalała wszystkie lampy, by widzieć każdy zakamarek pokoju. Starła się być czujna ktoś lub coś mogło wykorzystać jej skupienie na czytaniu lub pisaniu. Wiedziała, że to coś jest bezszelestne i błyskawiczne. Widzialne lub nie.

Z dwojga złego wolałaby to drugie.

Gdy była całkiem mała, nazywała to coś „Panem Ludziem” i tak już pozostało. Pan Ludź brzmiał lepiej niż zmara, zjawa, duch czy upiór. Nawet nie próbowała go sobie wyobrazić. Pewnie przybierał dowolne postaci i kształty. Mógł być samym kształtem. Dźwiękiem. Kolorem.

Babcia twierdziła, że Pana Ludzia nie ma, ale tak samo mówiła o tacie i mamie. A przecież ktoś przynosił paczki pod drzwi, ktoś był w kuchni i rozmawiał głośno z babcią o Kasice. Choć teraz dziewczynka już nie była pewna, kim byli ci ludzie; nawet ich nie widziała. Może jacyś znajomi babci? Nie był to najważniejszy problem Kasiki; tak naprawdę przestało ją to nawet

interesować.

Mimo że pewnego wieczoru ktoś stał na podwórku i wyraźnie ją wołał. Znała ten głos. Ale zanim zdążyła podbiec do okna, babcia uprzedziła ją i oblała ledwie widocznego w ciemności mężczyznę wodą z wiadra.

- Kto to był? - spytała dziewczynka, zaśmiewając się.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami babcia. - Jakiś zboczeniec.

- Zboczeniec?

- Tak, właśnie tak. Niedobry, zły człowiek.

Przecież wiesz, co to znaczy.

Kasika wiedziała. Babcia ostrzegała ją, żeby nigdy nie rozmawiała z nieznajomymi, zwłaszcza z mężczyznami.

Na tej samej ulicy, zaraz obok bramy ich domu, były księgarnia i cukiernia, które Kasika często odwiedzała. W pierwszej zwykle tylko rozmawiała ze sprzedawczynią, a w drugiej opychała się pączkami i lodami. Pewnego dnia, gdy oglądała książki, sprzedawczynie zagadnęła, czy babcia dała jej list.

- Jaki list? - spytała zaintrygowana dziewczynka.

- Nie wiem. Zaadresowany był do ciebie. Przyniosła go jakaś pani.

- Jak wyglądała?

- Wysoka, ładna, energiczna. Powiedziała ostrym głosem, że to dla ciebie, i wyszła.

Dziewczynka biegiem puściła się do domu..

- Babciu, babciu! Gdzie masz list do mnie? Dlaczego mi go nie dałaś?

- Jaki list? - zdziwiła się staruszka. - Aaa ten, on nie był do ciebie. Owszem, zaadresowany był do dziewczynki, która nazywa się tak jak ty, ale mieszka dwie kamienice dalej.

- Nazywa się Kasika Mowka? - spytała podejrzliwie wnuczka.

- A skądże znowu! Ma nazwisko i imię takie jak ty w legitymacji szkolnej.

- Aha. No to faktycznie nie do mnie był ten list - powiedziała Kasika. - Szkoda. Lubię listy.

Nie uwierzyła babci; czuła, że ta kłamie, tylko nie wiedziała dlaczego ani po co.

- Przecież żadnych nie dostajesz - skomentowała sucho babcia.

- Ale je piszę - odpowiedziała ponuro Kasika. - Tylko nie wysyłam.

- Taaak? A do kogóż to piszesz te listy?

- Jesteś strasznie wścibska - syknęła dziewczynka i zamknęła się w bibliotece.

To był pierwszy raz, kiedy się pokłóciły. Babcia w kuchni wzięła swoje tabletki i usiadła na taborecie. Czekwała.

Kasika wyjęła z szuflady sekretarzyka pakiet listów i schowała je na dnie kufra, pod wszystkimi zeszytami, choć i tak wiedziała, że babcia może je przeczytać. Nie było jednak żadnego miejsca, które można by zamknąć kluczem. W tym mieszkaniu w ogóle nie było żadnych kluczy. Pochowała je, pomyślała wściekła dziewczynka.

- Kłamie - wyszeptała kolejną myśl - kłamie, kłamie, kłamie!

Co się z nią dzieje? - myślała babcia. - Im więcej wie, tym jest gorsza. W nauce zrobiła takie postępy, że może już przystąpić do matury. Przeczytała więcej książek niż ja przez całe życie, choć tyle ich zgromadziłam. A te jej opowiadania! Ma to coś. Muszę ją chronić.

Gwałtownie uniosła głowę, gdy do kuchni weszła Kasika.

- Nie chciałam tak powiedzieć. Nigdy niczego przed tobą nie chowam, żadnych zeszytów, dzienników... Więc powiedz mi, kim są ci ludzie? Czy to moi rodzice?

- Przecież wiesz, że nie - odpowiedziała cicho babcia. - Chcesz mnie zostawić?

- Nie! - zawołała dziewczynka i podbiegła do babci. Objęła ją mocno.

Kłamie - pomyślała kobieta - ale teraz to nieważne. Ja też kłamię. - A

wstając, głośno powiedziała: - Przygotuję ci kąpiel. Już wieczór. Chcesz?

- Tak. Gorącą. I dużo piany. A potem kakao...

-... gorące i z pianą - uśmiechnęła się niepewnie staruszka.

Tylko ta niezwykła dziewczynka dawała jej siłę potrzebną do życia; sprawiała, że niemal sześćdziesięciodziewięcioletnia kobieta czuła się młoda i pełna werwy. Wiedziała, że nie może zachorować ani poddać się słabości, bo potrzebna jest Kasice.

A bywały dni, że najchętniej w ogóle nie wstałaby z łóżka, popijając jak dziewczynka kakao i czytając książkę. Tylko że Kasika nie potrafi nawet zagotować wody w czajniku. Przecież nie może go dotknąć; jeszcze by się poparzyła!

I znów powtarza się wieczorny rytuał. Szczupła dziewczynka z rozpostartymi ramionami i długimi włosami na stojąco powoli obraca się w wannie zgodnie z ruchem wskazówek zegara; minę ma poważną, patrzy gdzieś w głąb siebie, może dalej...

* * *

Nadeszła wiosna, ulubiona pora Kasiki. Okno w bibliotece jest szeroko otwarte, wpadają przez nie promienie bladego jeszcze słońca. Kasika opiera ręce na parapecie, obserwuje podwórko. Ma tu znacznie ciekawszy widok niż z okna wychodzącego na ulicę, po której przechodnie tylko idą wte i wewte, mijając się pośpiesznie. Trudno ich odróżnić od siebie. Czasami próbowała zgadywać, czym się zajmują, ile mają lat, dokąd pędzą, ale zbyt szybko przechodzili. Tylko starsi i dzieci chodzą powoli, spacerkiem, jakby nigdzie się nie śpieszyli.

Podwórko było przedłużeniem mieszkania. Znała niemal każdego, kto się na nim pojawiał, poza ludźmi przychodzącymi z zewnątrz. Ale oni rzadko się zjawiali, tak jakby sąsiedzi, podobnie jak babcia, nie mieli zbyt wielu znajomych.

Dom, w którym mieszkała Kasika - odgradzony od ulicy żelazną kutą bramą - był wysepką w centrum gwarnego miasta. Mieszkańcy mieli duży ogród

z fontanną, blisko bramy stał trzepak, a blaszane drzwi prowadziły do piwnicy. Rosło tu też wysokie, rozłożyste drzewo z gałęziami do ziemi, zasłaniające pełen kontenerów śmietnik. Kasika lubiła wspinać się na nie i obserwować otoczenie jak przyczajona sroka.

Ale teraz patrzy z góry, jak gruba pani Zosia z parteru grabi ziemię w ogródku i wrywa chwasty. Jej mąż, Adam, na pewno stoi w szeroko otwartym oknie, do oczu przyłożył ogromną wojskową lornetkę, mimo że żona jest ledwie dwa metry od niego, i dyryguje. Jak zwykle ma na sobie mundur wojskowy, chociaż wojna dawno się skończyła.

Przynajmniej dla innych. On wciąż walczy. Każdy jest potencjalnym wrogiem; trzeba mieć oczy dokoła głowy, nocami drzemać, o świcie na nogach.

Czułość, czułość!

Pani Zosia kopie małe dołki, bo chce zasadzić kwiaty, ale on już widzi okopy, worki z piaskiem i zasieki z drutów kolczastych. Żonie słabo idzie, bo gruba. Jutro mąż znów zrobi jej musztrę: bieganie dokoła podwórka, przysiady, czołganie się, skoki przez trzepak. Spali trochę tłuszczu. A jak dobrze pójdzie, dołączą sąsiadki, zamiast chodzić na aerobiki jakies i jeszcze za to płacić. Już on je nauczy dyscypliny.

Kasika słyszy jego myśli i uważa, że jest stuknięty; żal jej grubej sąsiadki. To ona zwykle przychodzi, gdy babcia musi gdzieś wyjść. Dzięki temu Kasika nigdy nie jest sama. Jak podrośnie, pójdzie do jej męża i powie mu, co uważa o takim traktowaniu kobiet! Na razie w ramach zemsty nie odpowiada na jego lubieżne, śliniące się:”co słyhać, maleńka” lub:”a dokąd to się wybieramy, słoneczko?”.

Nagle dzieje się coś dziwnego. Kątem oka Kasika widzi lecącego psa. Piesek przebiera łapami w powietrzu i woła o pomoc. Kasika sztywnieje i zaciska powieki. Słyszy donośne”plask!” i widzi poruszającą się, skomlącą czerwoną plamę na betonie. Plama jest większa od pieska i jak rozwidlona kałuża rozchodzi się w różne strony. Po chwili zapada cisza. Kasika osuwa się

na ziemię. Ktoś go wyrzucił!

Ktoś wyrzucił pieska pani Ireny! I w tym samym momencie słyszy znajome ujadanie. Jak w transie wstaje i spogląda przez okno na balkon sąsiadki, na którym piesek jak zwykle wygląda przez sztachety i szczeka.

Kasika ciężko siada na krześle przy biurku. Nie może się powstrzymać od zaciskania powiek i otwierania oczu, zaciskania i otwierania... Przywidzenie? Czy pies, którego szczekanie wciąż słyszy, naprawdę zostanie wyrzucony? Zaciska i otwiera, zaciska, otwiera.

Babcia woła ją do jadalni. Kasika wstaje, idzie, siada przy stole z kamienną twarzą; tylko powiek nie może powstrzymać: zaciska, otwiera, zaciska, otwiera...

- Wpadło ci coś do oka? - pyta babcia.

- Nie.

- Wyglądasz, jakbyś miała tik nerwowy. Nie rób tak, bo ci to zostanie - mówi gniewnie babcia, widząc, jak dziewczynka oszpeca swoją ładną twarz nieustannym mruganiem. Ale ona nie może się powstrzymać. Na talerzu ma pokrojone mięso, warzywa i plasterki ziemniaków. Wkłada je widelcem do ust i wciąż mruga.

Muszę przestać! Natychmiast! Inaczej babcia zaprowadzi mnie do lekarza tak jak wtedy, gdy bolał mnie ząb i spuchło mi pół twarzy. Musiałam usiąść nieruchomo na wstrętnym fotelu, wokół pełno przyrządów, lekarz kazał otworzyć usta, ale mocno je zacisnęłam. Powiedział, że tylko popatrzy, a potem szybko wsadził rękę z kleszczami i wyszarpnął zęba.

Babcia jednak wezwała lekarza domowego, który stwierdził tik nerwowy i zapewnił, że "minie sam, pewnego dnia", "można podać krople walerianowe, ale niekoniecznie", "dziewczynka jest po prostu nerwowa", i dodał: "przydałby się jej kontakt z rówieśnikami". Babcia grzecznie podziękowała mu za porady i zapłaciła.

- Akurat, "kontakt z rówieśnikami"! - Żeby całkiem zwariowała, same

matoly i nieuki, niepotrzebni jej żadni rówieśnicy - mamrotała do siebie.

- A właściwie dlaczego nie mam koleżanek? spytała zaczepnie Kasika.

- Bo ci niepotrzebne! Miałaś jakąś w szkole?

Tylko tę debilną Ulę. Świat jest zły, Kasiko, tylko tego nie wiesz. Dzięki mnie - odparła babcia.

Dziewczynka pomyślała o spadającym piasku.

O krwawej skomlącej plamie na betonie. Przed tym mnie nie uchroniłaś, pomyślała.

„Świat jest zły, Kasiko”, mówiłaś, babciu, gdy bylam mała. Jakże się myliłaś. To nie świat, babciu, nie świat...

Pewnego wiosennego dnia do dozorcówki na parterze, visavis mieszkania Kasiki, wprowadziła się kobieta z chłopczykiem. Chłopczyk był niewielkiego wzrostu i mógł mieć sześć, może siedem lat. Kasika obserwowała ich z okna. To było drugie dziecko - o ile Kasikę można w ogóle nazwać dzieckiem - które zamieszkało w kamienicy.

Będę miała kolegę, ucieszyła się. Patrzyła, jak tragarze wnosili lichy, zniszczony dobytek: wersalka, mały tapczan, stół z krzesłami, biurko, fotel, lodówka, telewizor, pralka. I jeszcze kilka kartonowych pudeł.

- O! Jest nasza nowa dozorczyni - powiedziała babcia, stając obok wnuczki. - A raczej sprzątaczką, bo dozorcę przecież już marny.

- A co ona będzie sprzątała? Mieszkania? spytała dziewczynka.

- Nie, kotku - roześmiała się babcia - podwórko i klatki schodowe.

- Ten chłopiec też?

- Nie, jest za mały. Pewnie dopiero poszedł do szkoły. Ale... zobacz, jakie on ma dziwne włosy, to na pewno chłopiec?

- Na pewno. Dlaczego dziwne?

- Długie i kręcone jak u dziewczynki.

- No to co z tego? Oj, babciu, jakaś ty nienowoczesna. Dziś chłopcy mają długie włosy. Na przykład spięte w kucyk. Czytałam o tym.

- Tak kochanie, ale nie tacy mali - skostatowała babcia i poszła do kuchni.

Taak, akurat! W szkole były przecież dziewczynki z króciutkimi włosami, które brano za chłopców.

A to jego uczesanie jest całkiem fajne... Chciałabym mieć takie złote loki. Ale buzię ma małą, zupełnie jak chomik, przestraszony chomik. Albo owieczka.

Taka, która biega po lesie i szuka stada, od którego niechcący się oddaliła. Chłopiec, przyciągnięty wzrokiem dziewczynki, popatrzył w górę. Kasika uśmiechnęła się, ale szybko spuścił głowę i razem z matką zniknął w mieszkaniu.

- A to ci sąsiedzi! - powiedziała Kasika do siebie. - Pewnie nawet nie pogada ze mną. Ucieknie, jak tylko się odezwę.

Zauważyła, że nie ma z nimi mężczyzny, męża, ojca. Może dojdzie potem, a może nigdy.

Mieszkańcy kamienicy też przyglądali się z okien nowym przybyszom.

- Sprzątaczką powinna być duża, gruba i silna usłyszała dziewczynka głos pana Adama z parteru.

Specjalnie mówił głośno, w nadziei, że ta biedna kobieta go usłyszy. -. A ten mały jakiś nienormalny!

- Sam jesteś nienormalny! - Kasika nie wytrzymała. Wychyliła się z okna i patrzyła na zdumionego jej atakiem, czerwonego na twarzy od alkoholu sąsiada. - Codziennie cała kamienica słyszy, jak traktujesz żonę, wkładając ten swój groteskowy mundur. A ja wiem coś jeszcze o tobie.

Dobrze wiesz co. Więc lepiej przestań.

Usłyszała chichoty dochodzące z innych okien.

Usiadła na podłodze i cicho się śmiała, lekko przestraszona swoją śmiałością. Głupiek jej nie odpowiedział, jej, gówniarze, małej dziewczynce! Sąsiad posłusznie wycofał się w głąb mieszkania i zamknął okno. Ale wiedziała, dlaczego nie zareagował.

Mieszkańcy kamienicy też wiedzieli. Tak jak wiedzieli, że Kasika nie jest zwykłą dziewczynką, ale zdążyli się już do niej przyzwyczaić. Większość z nich była stara, niektórzy tylko młodszy od babci, a ludzie starzy nie dziwią się tak jak młodzi. Przynajmniej w tej kamienicy, która też nie wydawała się typowa. Strzegła swojej wyłączności, swoich zasad, rytuałów, nie pozwalając, by wciąż zmieniający się świat zewnętrzny wpychał tu swoje macki. Pozwoliła wprowadzić się kobiecie z chłopcem, ciekawe, jacy są?, zastanawiała się Kasika.

Już wieczorem wiedziała, że mały ma na imię Piotrek i ma siedem lat, choć wygląda na pięć. A jego mama to Maria.

- Może się z nim zakoleguję - oświadczyła Kasika przed snem.

- No, nie wiem. Tak bardzo brakuje ci towarzystwa?

- Nie. Tylko skoro już tu mieszka...

- On jest chyba zaburzony w rozwoju - stwierdziła babcia, ziewając.

- Niekoniecznie. Może po prostu nie urósł.

I jest wystraszony.

- Może. Ale nigdy nie wychodź z nim poza bramę - zastrzegła babcia. - Bo jeszcze będą z tego kłopoty.

- Dobrze - odpowiedziała Kasika i zasnęła, trzymając babcię za rękę.

I znów ten sen. Nawet nie przerażający, tylko niezrozumiały; sprawiający, że Kasika po przebudzeniu chciała znów się w nim znaleźć i odgadnąć zagadkę. A może nie ma żadnej zagadki?

Kasika lubiła sny. Czuliła, że to druga strona rzeczywistości; równie ważna, może nawet ważniejsza. Zdarzało się, że myliła zdarzenia ze snu z tymi na jawie. Kiedyś babcia powiedziała, że wnuczka strasznie ją przeraziła w nocy.

- Ja? - zdziwiła się dziewczynka. - Co zrobiłam?

- Myślałam, że lunatykujesz, ale nie, bo to zdarzyło się tylko raz. Nagle wstałaś, podeszłaś do półki z książkami i zaczęłaś wyjmować jedną po drugiej, układając w stosik. Potem wsadziłaś je z powrotem i wróciłaś do łóżka.

- I tyle?

- Tak. Zrobiłaś to, śpiąc.

- Zabawne.

- Czy ja wiem? Raczej dziwne.

- Dlaczego od rano nie powiedziałaś mi o tym?

- Nie wiem. Chyba nie chciałam nic ci sugerować. Bałam się, że to lunatyzm, mówię ci. Ale więcej nie wstałaś. To zdarzyło się tylko raz, jakiś miesiąc temu. I nie było nawet pełni. Więc nie ma się czego obawiać.

- Ale dlaczego ja to zrobiłam??? - dociekała Kasika.

- Nie mam pojęcia. Musiałaś mieć wyjątkowo wyrazisty sen.

- Wszystkie sny mam wyraziste - odpowiedziała dziewczynka.

- Może chciałaś posprzątać...

- Przecież nie umiem sprzątać.

Dni mijały leniwie. Kasika, już po maturze, nie poszła na studia. Babcia nie chciała, by dziesięcioletnia dziewczynka uczyła się ze starszymi od siebie i by traktowano ją jak dziwoląga. Wiedziała też, że może zainteresować się nią prasa. Dlatego postanowiła, że przez rok wnuczka będzie pogłębiała swoją wiedzę w domu, a przez ten czas babcia dowie się, jak skończyć studia bez chodzenia na uniwersytet.

* * *

Sny... To była zupełnie inna sprawa. Nie zapisywała ich nawet w zeszytach. Nie musiała. Znała je na pamięć, każdy szczegół, słowo, ruch, uczucie.

Nie śniły się jej co noc, ale wciąż powracały pomiędzy innymi, zwykłymi snami. Budziła się wtedy niewyspana, zmęczona, smutna.

Zmieniała się sceneria, ale historia wiecznie była ta sama. W pokoju rodzina, jej rodzina, jak to we śnie, była tego pewna: rodzice, siostra, znajomi siostry... wszyscy dobrze ubrani, uśmiechnięci, weseli. Tylko ona w jakichś łąkach. Siadali właśnie do nakrytego suto stołu. Ale dla niej nie było krzesła.

Kiedy chciała wyjąć z lodówki coś do jedzenia, ta okazywała się zamknięta. Kiedy mówiła, nikt nie słuchał. Albo ją ignorowali, albo nie widzieli. Kiedy szukała swojego pokoju, by się położyć, znajdowała obskurną ciasną klitkę bez okna. Kiedy próbowała zadzwonić po pomoc, telefon był zepsuty. Po przebudzeniu towarzyszyło jej uczucie przerażenia i wykluczenia. Z ulgą brała od babci tacę ze śniadaniem.

Sny o niewidzialności były częste, zbyt częste.

Nie rozumiała ich. Pewnie psycholog wyjaśniłby je w kilku słowach, ale dla psychologów wszystko było proste.

W bibliotece wertowała Junga, Eliadego, Delaware'a, doszukiwała się symboli i znaków. Na próżno. Te sny były bardziej realistyczne od jawy.

Ale był jeszcze jeden powracający jak bumerang sen, ważniejszy dla niej od tamtych. Po przebudzeniu często chciała do niego wrócić. W nim były symbole, znaki, tylko jeszcze nie wiedziała jakie. Czuła jedynie, że to jest sen proroczy, i będzie miał dalszy ciąg, że coś się w nim wydarzy, połączy ze sobą.

I wtedy ona, Kasika, odnajdzie, no właśnie, co?

Dowiem się, muszę być cierpliwa.

Już wtedy okłamywała babcię, zatajała przed nią nie tylko sny, ale i uczucia, które pojawiały się nagle jak wysypka na całym ciele. Miała wówczas ochotę rozbijać przedmioty, drzeć na kawałki książki, kopać meble; agresja skierowana była przeciwko babci i Kasika zdawała sobie z tego sprawę.

Jeszcze nad tym panowała. Jeszcze.

* * *

Kasika siedzi na muszli klozetowej i wpatruje się w krew ciekącą jej po nogach. A więc to już. Menarche, czyli miesiączka. Pudełko z podpaskami od dawna miała schowane, bo spodziewała się tego.

Przecież już nosi stanik.

W encyklopedii znalazła to, co ją interesowało:

„Miesiączka (menstruacja, okres): kilkudniowe comiesięczne krwawienie

z dróg rodnych spowodowane złuszczeniem się i wydalaniem przez pochwę fragmentów błony śluzowej jamy trzonu macicy, w której nie zagnieździło się zapłodnione jajo płodowe. Cykle miesięczkowe świadczą, że dziewczynka stała się kobietą i jest zdolna do wydania potomstwa. Cyklowi towarzyszą również zmiany w całym organizmie. Ustrój kobiety wytwarza bowiem specyficzne substancje chemiczne zwane hormonami, które wpływają nie tylko na płodność, ale na czynności i zdrowie wielu narządów kobiety oraz na jej samopoczucie”.

Stała się więc kobietą. KOBIEĆA. PŁODNOŚĆ.

HORMONY. SEKS.

Telarche, pubarche... fascynujące słowa, fascynujące odczucia, fascynujący dotyk.

- Wiem, co robisz - groźny głos babci dociera do niej tuż po cudownym odlocie, kiedy jeszcze trzyma rękę w majtkach.

Skąd wie, do cholery?! Przecież siedzi tyłem! To te drgania ciała, wyczuła je. A może jęknęłam, skąd mam wiedzieć.

Kasika wacha palce, by znów poczuć ten nowy, intrygujący zapach.

- Niby co? - pyta zaczepnie.

- Ty już dobrze wiesz - odpowiada staruszka.

A niech jej będzie! Nie potrafi nawet głośno powiedzieć tego słowa: masturbacja. Może jest zbyt stara, zbyt krucha jak te jej filiżanki i talerze po przodkach, które czyści z pieszczotą. Ona pieści porcelanę, a ja siebie.

I natychmiast pojawia się poczucie winy i wybucha wewnątrz. Dziwny, mdlący zapach tkwi w powietrzu jak wyrzut.

- Mogę pobawić się z Piotrkim? - pyta słodkim, wytrenowanym głosem.

- Ani się waż.

Nie chciałam, babciu. Mam czterdzieści lat i nadal nie znoszę niedziel. Nie mam w domu igły ani żelazka. Całe niedziele cerowałam, prasowałam, a ja leżałam w łóżku i czułam ten charakterystyczny zapach nagrzanego żelazka. Szyłaś, skracałaś spódnice, wydłużałaś spodnie... To było takie smutne, babciu,

tak smutne, że mogłam tylko patrzeć.

A oni chodzili po parku, wśród ptaków, siedzieli w restauracjach i kinach, robili zakupy, śmiali się... A ty szyłaś i prasowałaś, szyłaś i prasowałaś, szyłaś i prasowałaś. Stos z prawej strony przechodził na lewą, a potem z lewej na prawą. I tak cały dzień.

A potem myślaś mnie, sparaliżowaną strachem, samotnością, monotonią, klaustrofobią, brakiem

„onych”... I nic nie widziałaś, babciu.

- Piootrek - mówi Kasika, uśmiecha się i przywołuje gestem chłopca, który przycupnął na progu drzwi dozorcówki. Siedzi i gapi się przed siebie. Czasem poprawia lok, który wpada mu do oka. Wygląda jak niedorozwinięta dziewczynka, myśli Kasika, ale dalej się uśmiecha.

- Noo, Piootrek - powtarza - mogę się przysiąc?

I wtedy rozlega się głos babci, która wychylona z okna woła:

- Kasika! Natychmiast wracaj, wracaj!

Dziewczynka odwraca głowę. Widzi, jak w innych oknach pojawiają się ciekawscy sąsiedzi, zwłaszcza gruba pani Zosia, koleżanka babci.

Wściekła Kasika wraca do domu, nie chce, żeby babcia była zła, nie lubi jej takiej.

W kuchni staruszka siedzi na krześle i obiera ziemniaki. Łupiny spadają na podłogę z cichym pac, pac, a na nie kapią babcine łzy.

Jakie cieniutkie obierki, starannie wycinane nożykiem. Kasika patrzy na rosnący stosik i nagle podbiega do babci, klęka na łupinach i obejmuje staruszkę za kolana.

- Nie chciałam! Babciu, ja nie chciałam, nie płacz, proszę cię, tylko nie płacz. - Wtula głowę w babcine nogi.

Po chwili czuje, jak dłoń babci gładzi jej długie włosy.

- No już dobrze, uspokój się, ja nie płaczę, Kasiko... już dobrze, to tylko cebula, obierałam cebulę.

Robię ci zapiekankę - szepcze.

- Naprawdę? - Dziewczynka unosi głowę. - Wspaniale! Tę moją ulubioną, tak? Z ziemniakami i serem?

- Tak, właśnie tę. Idź do pokoju, nie klęcz na obierkach, ubrudzisz się. - Babcia szybko wyciera twarz fartuchem.

- Co mam robić w pokoju? - dąsa się dziewczynka.

- Poczytaj sobie, zaniedbałaś naukę - mówi babcia, odsuwając lekko Kasikę od swoich kolan.

- Ja??? Ja wszystko już wiem. Jestem chodzącą encyklopedią. - Śmiejąc się, wybiega z kuchni.

Boże, co ona wygaduje, co ja z niej zrobiłam, chciałam dobrze, dałam jej wszystko, a to mały potwór.

Mały, genialny potwór, myśli krążą w głowie babci jak trucizna. Tłumi płacz. Nagle słyszy głos Kasiki:

- Ty nie jesteś katoliczką, prawda?

Zaskoczona babcia patrzy na dziewczynkę.

- Nie, kochanie. Ja wierzę w Boga. Ale... skąd ci to przyszło do głowy?

- Zaczepiła mnie na schodach gruba Zosia i wypytywała, czemu nie chodzimy do kościoła.

Nienawidzę jej. Nienawidzę, bo mi jej żal, sapie, ma tyle tłuszczu i tego wstrętnego, obleśnego...

- Przestań! Nic o niej nie wiesz. Jest tylko nieszczęśliwa!

- Tak jak tyyy? - znów ten głos, jak sączący się jad.

Babcia zaciska usta, nie odpowie, o nie, dość tego.

Cholerne ziemniaki, cholerna zapiekanka dla potworka. Jezu, co ja myślę o tym dziecku, wybacz mi, to nie moje myśli.

- Nie, skarbie. Ja mam ciebie, czemu więc miałabym być nieszczęśliwa? Co za głupie pytanie.

-”Nie zrozum mnie zbyt szybko”. Truman Capote - odpowiada

dziewczyna z nutą wyższości, która tak często pojawia się w jej głosie, oczach, spojrzeniu...

- A ty nie mów do mnie cytatami - odpowiada babcia.

- To jak mam mówić? Co ja znam poza słowami z książek?

- Znasz aż za dużo, nie odstawiaj cyrku. Przestań już. - Staruszka patrzy na wyrośniętą dziewczynkę, która stoi w drzwiach kuchni. To już nie jest dziecko, przemyka jej przez siwą głowę bolesna jak cięcie brzytwą myśl.

- Co tam stoi przykryte serwetą? - Kasika gwałtownie przepycha się obok siedzącej babci, podnosi serwetę i zapach sernika omiata kuchnię, babcię, złe myśli...

Kasika odrywa jeszcze ciepły kawałek ciasta, wpycha sobie do ust, potem następny i jeszcze... okruchy wylatują jej z buzi na podłogę, twarz wydyma się jak balon...

- Zaraz zwymiotujesz, co ty wyprawiasz???

- Geniusze nie wymiotują - bełkocze dziewczynka z ustami pełnymi ciasta.

- Czemu mnie dręczysz, Kasiko? Co w ciebie wstąpiło? - Znow łzy mieszają się z obierkami.

Kasika wypluwa na podłogę ciasto. I sama wybucha płaczem.

- Nie wiem, babciu, nie wiem - bełkocze. Nieporadnie podchodzi, przytula skuloną na krześle kobietę i wtedy krzesło się przewraca, babcia spada na podłogę, Kasika na nią.

Kiedy się podnosi, babcia wciąż leży na plecach, grymas bólu wykrzywia jej twarz.

- Zawołaj Zosię - mamrocze z wysiłkiem szybko...

Kasika biegnie na dół, potem w górę razem z dyszącą Zosią.

- Coś się stało babci, coś się stało!!!

Patrzy, jak gruba Zosia podnosi babcię, jej kochaną babcię, jak wybiega i wraca z bandażami, z miednicą, nalewa wody, miesza coś... Kasika nie chce

tego widzieć, to boli, boli, boli! Ucieka do pokoju, w bezpieczne miejsce, pod parapet.

Ma wrażenie, że zasnęła na chwilę, bo nagle cała kamienica wibruje groźnym dźwiękiem. A przecież była cisza, wiosna, tylko ptaki śpiewały... Co to za dźwięk?

Wszystko skanduje, ściany, mury, poręcze, balkony, okna.”Złamała staruszce rękę. Złamała staruszce rękę”.

Kasika mocno zatyka uszy, ale miarowy rytm nie ustaje. W końcu ostrożnie wychyla się przez okno, by stawić czoło kamienicy:”To nie ja, to niechający”.

Ale nikogo nie ma, ani w oknach, ani na podwórku. Cisza. Przez którą ledwo przebija się tylko jeden odgłos - to pani Stasia uderza słomianą trzepaczką w wiszący na trzepakach chodnik. Ledwo ją widać w chmurze kurzu.

- Słyszałam, że pani Ania się poślizgnęła. - Do Kasiki dociera jej głos wyraźnie, jakby stała tuż obok. - Chyba powinnyście zatrudnić gosposię.

I już ginie w chmurze, kurz ją zakrywa, znika...

Może wcale tu nie stała.

Skandowanie ustało. Może wcale go nie było.

Dziewczynka czuje, jak się kurczy, smak metalu w ustach, niech to minie, niech to minie, to zły sen, tylko sen.

Ale w kuchni jest i gruba Zosia, i ludzie w białych kitlach, i babcia z gipsem zastygającym na ręce.

Prawej ręce.

Wreszcie zostają same. Babcia nie płacze. Twarz ma zwyczajną, swoją, ciepłą. Kasika nie może oderwać wzroku od bieli gipsu.

„Zrobiłaś to specjalnie... wiesz o tym...”, szept w jej głowie.

- Nieprawda! - krzyczy.

- Kochanie, nie denerwuj się - mówi spokojnie babcia - to nic takiego. Tylko... tylko jak ja teraz cokolwiek ci ugotuję? Jak się tobą zajmę?

Kasika spogląda na leżący na piecu bochenek chleba. Podchodzi, urywa kawałek ręką i już prawie czuje jego smak, gdy słyszy głos babci:

- Nie! Nie tak!

Staruszka wstaje, podchodzi do dziewczynki.

- Podaj mi nóż - mówi.

Kasika posłusznie wkłada w babciną lewą dłoń nóż.

- Teraz naciśnij moją dłoń i przesuwaj w przód i w tył - instruuje dziewczynkę. - Tak jak kiedyś, pamiętasz?

Po dwudziestu minutach obok połowy bochenka leży kilka poszarpanych, ale jednak kromek.

- Udało się! - woła radośnie Kasika. - Może teraz pokroję sama?

- Mowy nie ma. Nawet nie próbuj dotykać tego noża. Weź płaski z szuflady, otwórz maselnickę i nałóż masło nożem na chleb. Nie tak! Rozsmaruj je, delikatnie, po całej powierzchni... Taaak, dobrze. Ale skórki ci teraz nie odetnę, zjedz sam miąższ, oderwij ją po prostu. Muszę usiąść - wzdycha babcia.

- Chcesz kanapkę? - pyta Kasika z pełną buzią.

- Nie, nie jestem głodna. Nie zdążyłam zrobić zapiekanki. Posprzątać też nie mam jak. Zawołasz jutro Zosię.

- No nie. Może sama...

- A umiesz?

Kasika milczy. Przetyka ostatni kęs kromki z masłem, ociera rękawem resztki tłuszczu z ust, skórę chleba rzuca na podłogę. Pierwszy raz nie wie, co powiedzieć. Nie ma słów, ani własnych, ani cudzych.

Podchodzi do kranu, odkręca kurek, nalewa wody do pierwszego z brzegu kubka i pije łąpczywie.

- Chryste. Przecież ty nawet herbaty nie umiesz zrobić. - W oczach babci pojawia się strach.

- A czyja to wina?! - wścieka się Kasika. - Jak chcesz wiedzieć, to umiem sznurować buty! Nauczyłam się. Ale do kuchni mnie nie wpuszczają.

Umyć też się nie potrafię! Ani sprzątać! Mogę napisać o tym opowiadanie, jeśli cię to zadowoli. - Wybiega z kuchni do pokoju i bezpiecznego schowka pod parapetem.

Siedzi w kucki, długie włosy opadają jej na twarz, w oczach ma gniew. I coś jeszcze. Coś na kształt lęku, który otula ją zimnymi mackami.

Co teraz zrobimy? - myśli. - Umrzemy z głodu?

Gruba Zosia będzie mnie kąpała? Ubierała? Za nic!

Może spać w ubraniu. Myć też się nie musi.

Gorzej z jedzeniem. I co z niedzielą? Kto jej poda śniadanie do łóżka? Byle nie gruba Zosia. Prędszej się porzyga, niż zje.

- Babciuuu! - woła. - No, babciuuu, chodź tu wreszcie.

Gdy staruszka pojawia się w pokoju, dziewczynka stoi oparta o parapet.

- A może zawołasz”onych”? - pyta, rozciągając samogłoski.

Ale babcia nie odpowiada. Odwraca się i wychodzi do swojego pokoju. Kładzie się na łóżku. Zamyka oczy. Kasika idzie za nią, nie daje za wygraną.

- Już ty wiesz, kogo mam na myśli. Tych, co krzyczeli na ciebie, tych, przed którymi zamykałaś mnie w pokoju, tych, którzy kładli paczki na wycieraczkę - syczy. - I którzy już nie wrócili.

Przez ciebie.

Babcia zaciska powieki.

- Przywidziało ci się, Kasiko. Przywidziało...

Wydaje się, że śpi. Ale nie, nie ma tak, nie będzie spała.

Kasika biegnie do komody, wyciąga pluszowego lwa, a z niego grającą małą małą, małą perkusistkę.

Nakręca ją i przykłada babci do ucha.

- A to? Co to jest??? Skąd się tu wzięło twoim zdaniem?! - krzyczy.

Ale babcia tylko mocniej zaciska powieki.

Małpka przestaje uderzać talerzem o talerz, więc Kasika nakręca ją znowu i znowu, i jeszcze raz.

- Fajnie gra, co? - pyta tym nowym głosem. - Fajnie? No, odpowiedz mi!!!

Po policzku babci spływają łzy, ale na dziewczynce nie robią już wrażenia, już je widziała.

- Idę spać - mówi do leżącej kobiety. - A ty sobie słuchaj muzyki. Jak się skończy, to z tyłu jest kluczyk. Lewą ręką sobie poradzisz. No, nakręć małą, to ci zatańczę. Chcesz? Nieee? To nie!

Sarna sobie zatańcz. Kimkolwiek jesteś.

Ale nagle - tyle się działo! Nie zauważyłam ciemności! - przypomina sobie, że przecież zapada noc. Wpycha się obok babci, naciąga kołdrę, obejmuje staruszkę, wtula głowę w jej pierś i dopiero zasypia. Babcia, moja babcia kochana.

Babcia leży ze sztywno uniesioną ręką, gips prawie świeci w ciemnym pokoju. Wciąż ma na sobie brudny od ziemniaków i śmierdzący cebulą fartuch.

Brud, zaśmiecona kuchnia, buty Kasiki wbijające mi się w bok, jej włosy wchodzą mi do ust, jej słowa... Kim ona jest, kim, na miłość boską? Moja porcelana potrzebuje czyszczenia, miękkiej szmatki. Moja podłoga polerowania. Moja głowa spokoju.

Kiedyś miałam męża zamiast tej dziewczynki. Wysokiego, barczystego, silnego męża. Ale odszedł. Nie, nieprawda. Zginął gdzieś, może na wojnie, tak, na pewno na wojnie, jak mężczyzna. Mężczyźni nie odchodzą. Wojna ich zabiera... - sen oddala myśli.

I tak śpią: dziewczynka w adidasach, swetrze i džinsach; stara kobieta w cuchnącym fartuchu na kwiecistej podomce.

Mężczyzna w mundurze, na policzku blizna, ale ta twarz nie jest twarzą żołnierza, jest wykrzywiona nienawiścią, coś krzyczy niemo; za mężczyzną stoi kobieta, odchodzą gdzieś, las, ciemno, kruki, ich oczy świecą w mroku... - to tylko sen, stara kobieta macha zdrową ręką, jakby odganiała muchę.

Dom ogromny jak ocean, komody, szafki, szyfoniery, w nich małe

szuflady, błyskotki, papiery zapisane drobnym pismem; to mój dom; tylko meble nie moje, czyje, następny pokój i następny, i kolejny, ile ich jest... - to sen, dziewczynka się uśmiecha.

* * *

Kasika patrzy, jak chłopczyk z twarzą owieczki wychodzi przed dom i siada na progu.

Co za debil, nic tylko tak siedzi i siedzi, i gapi się.

A ta nad nim, na pierwszym piętrze, znowu w oknie, też się gapi. Oboje w przestrzeń, jak ślepcy. Ta pewnie czeka na deszcz, żeby wystawić miednicę i nabrać wody. Potem będzie myła włosy w deszczówce, jakby ktokolwiek poza nią je widział.

A mały będzie siedział, aż usłyszy:”obiaaaad!”, to matka, zawsze go woła przez okno, zawsze za głośno, jakby był kilometr od niej, a nie pół metra.

Co - za durnie! Na obiad pewno znów kapusta, bo cuchnie na całe podwórko.

I Kasika już zbiega po schodach, szybko jak to ona, i jest na progu.

- Piooootrek - mówi, siadając obok chłopca owieczki.

A wtedy - oczywiście -.obiaaaad!” - więc leci za małym, wpycha się do dozorcówki:

- Dzień dobry. Mieszkam tam, na drugim piętrze, pod samym strychem, piękny zapach, czy to może kapusta?

Matka owca stoi jak wryta, z chochlą w - dłoni, przy kuchni, na której paruje gar wielki jak dla wojska.

Co za smród. Rzygnę, jak Boga kocham, zaraz rzygnę.

- Da mi pani trochę? - przymila się Kasika.

Owca jak automat nakłada na talerze kapustę i stawia je na stole, i łyżki też kładzie, jakby usługiwała, dobra służąca, porządna, łyżki z lewej strony wprawdzie, ale co tam, przecież to debilka.

Kasika już siedzi i pałaszuje. Zjadła, zanim mały zaczął.

- Geniaaaaalna kapucha. - Rozpiera się na krześle, rozgląda po nędznym pokoju: dwa łóżka, stół, dwa krzesła, kilka pudeł.

Nie ma gdzie usiąść żydowska owca, niech żre, stojąc.

Mały wkłada do ust po nitce kapusty, jakby więcej się nie mieściło w tej buzi, chudej, bladej, otoczonej długimi lokami.

- Przeszkadzam? - pyta grzecznie Kasika.

- Skądże - owca wreszcie przemówiła. - Dołożyć ci?

- Nie, dziękuję. Pani jest Żydówką, prawda?

Tak pytam, co za różnica. Moja prababka też była, tyle że z Wiednia. A wy skąd się wzięliście?

Beee, no beeee! Nic, ani be, ani me.

- I tak wiem. Jechaliście tutaj samochodem, prawda? Po drodze mieliście wypadek. Mężczyzna zginął, wy nie. Pani mąż? A tę dozorcówkę dostaliście w zamian za sprzątanie. Mam rację? Wiem, że mam. Zawsze mam. Piotrek jedz, co się tak gapisz?

Wystygnie ci. Pani niech też je. Ja tylko tak zajrzałam. Chciałam się przedstawić.

- Ty jesteś Kasika, tak? - głos mętny jak ta kapusta.

Odezwał się!

- No. A ty Piotrek. A pani Marysia, prawda?

Moja babcia to Anna. Ustąpię pani miejsca, proszę siadać i jeść, ja już pójdę, chciałam tylko... no... zapoznać się. - Kasika wstaje, owca siada.

- Skąd wiesz o moim mężu? - głos słaby, wodnisty, przestraszony.

- Muszę iść. Ale jeszcze przyjdę.

Wybiega z mieszkania, och, powietrza, powietrza! Co za zaduch!

Ale pierwsze koty za płoty, uśmiecha się do siebie, pędząc na górę, ignorując badawcze spojrzenie grubej Zosi z parteru.

W domu babcia poleruje porcelanowe filiżanki.

- Po co to robisz? - rzuca Kasika i biegnie do jadalni, gdzie na długim,

dębowym stole - przy którym dwanaście krzeseł jak potraw wigilijnych stoi jeden talerz. Dla niej.

- A ty po co poszłaś do tego chłopczyka? - Babcia nie przerywa polerowania. Miękką szmatką, mięciutką jak owcze futerko.

- Żeby mieć kolegę, mówiłam ci już - odpowiada Kasika, biorąc do ręki udko z kurczaka. - Dlaczego nie pokroiłaś mi mięsa? Jak mam jeść?!

- Tak, jak na to zasługujesz... - mówi cicho babcia.

Kurczak na ścianie, talerz rozpryskuje się na podłodze w drobny mak, wszak to porcelana. Marchewka ląduje na podłodze.

- Lepiej mnie wykąp - żąda dziewczynka.

- Jesteś już duża...

- I wciąż nie umiem się myć!

Kasika biegnie do łazienki, ściąga ubranie, staje naga w wannie. Czeka. Gęsia skórka pokrywa ciało.

Powtarza się wieczorny rytuał. Szczupła dziewczynka z rozpostartymi ramionami i długimi włosami, na stojąco, powoli obraca się w wannie zgodnie z ruchem wskazówek zegara; minę ma poważną, patrzy gdzieś w głąb siebie, może dalej...

Otulona w szlafrok leży w łóżku. Nie śpi. Nie płacze. Nie krzyczy. Słucha.

Szur... szur... to babcine kapcie. Stuk... stuk... to pantofle grubej Zosi.

Siadają. Babcia wyciąga porcelanowy dzbanek, filiżanki, mlecznik. Nalewa herbatę.

Babciu, babciu, co ty chcesz zatrzymać? Po co, zaraz to rozbijesz starymi rękami, myśli Kasika i czuje pieczenie pod powiekami. - Porcelanowy świat nie istnieje, babciu.

- Jak tam, Aniu? Dziewczynka już nie taka mała, co? - chropowaty głos Zosi.

- Nie chcę o tym rozmawiać. I mów ciszej. Ona śpi - głos babci.

Jakiś inny niż zwykle, myśli Kasika. Niemal widzi, jak fałdy tłuszczu na twarzy Zosi czerwienieją, falują, złością się...

- Jak chcesz, Aniu. Wiesz, ja się cieszę, że nie mam dzieci. Taki mój mąż kochany, dobry, tak się mną zajmuje, nie mam kłopotów jak ty. Dzieci to kłopot. I swoje, i cudze.

Babcia milczy. Kasika niemal widzi, jak zaciska usta, jak patrzy wszędzie, byle nie na grubą Zosię, i jak ta ostatnia wpija się wzrokiem w sąsiadkę, ciekawska, wredna, wścibska...

- Skończyła się herbata - cichy głos babci.

- Może dasz trochę tych nalewek? Masz takie dobre, zwłaszcza tę śliwownicę - podlizuje się Zosia.

Kasika nadstawia ucha, podnosi się z pościeli.

- Może nie dziś, jestem zmęczona - głos babci. - Jutro zajrzyj. Chyba się położę.

- Jak wolisz, Aniu, jak wolisz. - Gruba Zosia wstaje, szura krzesłem, naciska kłamek. - Idę do Adama, szkoda, że twój mąż od... to znaczy gdzieś zaginął. Już on by wiedział, co robić.

Ciche zamknięcie drzwi. Przekręcenie zamka.

I jeszcze zasuwanie sztaby. Porcelanowy świat.

Kasika szybko zakrywa głowę kołdrą.

Co takiego? Nalewki? Alkohol? W domu? Mąż?

To ta staruszka miała mężczyznę? Gdzie on jest teraz? - Myśli szaleją. - Co by było, gdyby tu był?

Czuje, jak babcia siada ciężko na łóżku.

- Co ty tak wcześnie się położyłaś? Śpisz? pyta wnuczkę.

Kasika milczy.

Stara kobieta ściąga fartuch, rzuca go na podłogę i z westchnieniem kładzie się obok dziewczynki.

Obie nie śpią. Obie o tym wiedzą.

Żadna się nie odzywa.

Czekają, aż nadejdzie noc.

Sen: dom jest piękny. Tyle w nim pokoi, że Kasika już nie wie, w którym z kolei się znajduje i ile ich jeszcze przed nią. Tylko dlaczego tu tak cicho i pusto? Słysząc jedynie skrzypienie starych mebli i drewnianej podłogi. Jakby płakały, pozbawione właściciela. Jakby skrzecząco domagały się pielęgnacji, miękkiej szmatki, dotyku. Ten dom woła o pomoc. A Kasika nie potrafi sprzątać. Nawet we śnie.

Staruszka śpi. Kasika cichutko wymyka się z łóżka. Spizarka? Gdzie jest? Nawet lęk przed ciemnością nie powstrzymuje ciekawości. Na bosaka, chwytając się mebli, dziewczynka dochodzi do kuchni. To musi być gdzieś tu! Ja mam kufer, babcia spizarkę. Otwiera szafki, jedną po drugiej, stary kredens płacze skrzypiąco, wreszcie Kasika trafia dłonią na szklane karafki. Wyjmuje jedną, wyciąga korek, wacha, dziwny słodkostry zapach. Przykłada do ust. Wzdryga się, ale ciepło już rozchodzi się po trzewiach. Siada na podłodze, znów przykłada do ust.

Jaki piękny ranek, myśli babcia, kiedy jej oczy jak zwykle po nocy kierują się ku oknu, tyle słońca... Ale zaraz, gdzie Kasika? Powinna jeszcze spać. Wstała? To dziwne. Taka cisza. Babcia zagląda do biblioteki, może dziewczynka wreszcie wróciła do nauki? Ale tu są tylko zakurzone książki.

Tysiące książek. I zad uch. Babcia otwiera okno na całą szerokość. Przymyka oczy i wciąga do płuc powietrze.

Spałam w ubraniu, co za wstyd, upokorzenie, myśli, idąc do kuchni, by zagotować wodę na herbatę.

Między kuchnią a kredensem leży Kasika. Obok niej pusta karafka. Babcia podnosi karafkę, wacha, o Chryste. Pewnie chciało jej się pić, pomyliła się po ciemku, ale... Myśl jest straszna, nie do przyjęcia.

Nie ma siły podnieść dziewczynki, która najwyraźniej śpi. Próbuje, ale ta zdaje się ważyć tonę.

I nie reaguje na pomoc.

Teraz to babcia przemierza drogę schodami w dół i z powrotem razem z grubą Zosią.

- Stało się coś strasznego - dyszy - ona wypła niechcący alkohol, nie rusza się, zrób coś!

- Niechcący? Całą tę karafkę?! - rzuca Zosia.

- Zamknij się. Dzwon po pogotowie! Prywatne, słyszysz? Tylko prywatne pogotowie!

Zosia wybiega.

I znów ludzie w białych kitlach pojawiają się w kuchni. Babcia patrzy, jak przenoszą dziewczynkę na łóżko, podłączają do kroplówki, krzątają się jak we własnym mieszkaniu. Wreszcie Kasika otwiera oczy, coś mamrocze.

Już są same. Poszli. Wszyscy poszli. Babcia zarygłowała drzwi, zebrała zarzyganą pościel, oblokła nową i Kasika leży sobie jak królowna, jak za dawnych lat. Tylko blada, niewyraźna jak świt.

- Podnieś głowę - mówi babcia, trzymając w ręce łyżkę z rosółem.

Karmi ją, ta posłusznie się godzi, aż po kilku łyżkach odsuwa dłoń babci i opada na poduszkę.

- Wiesz, co wypłaś w nocy?

Kasika milczy.

- Odpowiedz. Wiesz?

- Wiem. W małych dawkach - rzędu trzydziestu do trzydziestu pięciu mililitrów - wywołuje on stan pobudzenia, przyśpieszone bicie serca, rozszerzenie źrenic, zaprzestanie odczuwania zmęczenia i ogólną poprawę nastroju. U zdrowej, młodej osoby, która do tej pory nie spożywała alkoholu, wypicie stu gramów etanolu, około jednej czwartej litra wódki, powoduje już zwykle stan silnego zamroczenia, objawiający się utratą sprawności ruchowej, problemami z utrzymaniem równowagi, utratą kontroli nad własnymi emocjami.

W skrajnych postaciach zamroczenie alkoholowe przejawia się całkowitą

utrata świadomości i zanikami pamięci, pogarszają się zdolność koncentracji i oceny sytuacji, pamięć, mowa, widzenie staje się nieostre. Co roku w wypadkach samochodowych spowodowanych przez nietrzeźwych kierowców ginie lub traci zdrowie wiele przypadkowych osób.

Często alkohol jest przyczyną zachowań agresywnych i impulsywnych, a zaburzenie zdolności myślenia może powodować nieporozumienia, przez co...

- Przestań!

- Cóż to było? Śliwowica - wysokoprocentowy, ponad siedemdziesiąt procent, wytrawny napój alkoholowy, wypalanka, produkowana ze specjalnie dobranych śliwek węgierek. Zazwyczaj śliwowica jest spożywana w postaci czystej, ale jak każdy silny napój alkoholowy może być...

- Nic nie mów - prosi babcia. - NIC.

- Tak z pamięci, mimowolnie. Mówiłam ci, jestem chodzącą encyklopedią. Tylko po co? - Zniecierpliwiona Kasika odwraca głowę. - Proszę cię, babciu, bądź miła, nie męcz mnie, ja już nie będę, zacznę się znów uczyć, obiecuję, tylko nie płacz, nie złość się, nie wzywaj tej grubej, ja jej nie lubię, nikogo nie lubię. Ciebie tylko lubię. Babciu, babciu...

Zasypia.

Jaka ona śliczna, myśli staruszka, nawet teraz, choć taka błada i zmęczona.

I sama idzie do kuchni. Do kredensu, do spizarki. Bierze karafki, jedną po drugiej, i cicho zanoszą do biblioteki, chowa za książkami. Wyciąga z szafy podomkę, wreszcie się przebiera. Bierze grzebień i rozczesuje długie siwe włosy, spina je w kok. Podchodzi do regałów, wyciąga karafkę, wyjmując korek, wraca do kuchni po kieliszek, taki piękny stary kielich, nalewa, pije, znów nalewa, pije i znów...

Nad ranem jakoś udaje jej się dojść do łóżka, w którym śpi Kasika.

Zasypia.

Kobieta się pakuje. Nie ma zbyt wiele do zabrania. Załedwie kilka rzeczy,

strzępy słów. Zdjęcia sprzed lat i te obecne, oprawione w proste, szare ramki, pamiątki - pluszowy lew ze schowkiem w środku, zapinany na rzep, małpka perkusistka, pukiel siwych włosów. Tamto mieszkanie o zapachu stęchlizny i prasowania wciąż czeka. Wola.

- Co tak śmierdzi? Rany, to ty. - Kasika wygrzebuje się z pościeli, idzie jeszcze zaspana do kuchni, ale tam śniadania nie ma. W jadalni też nie. Wraca do pokoju i szarpie babcię.

- Obudź się, obudź! - woła. - Nie mam co jeść, głodna jestem, słyszysz?! Mam sama gotować?

- Jezu, tylko nie to - słaby głos babci, która wstaje, przeciera oczy i już rusza do kuchni, otwiera lodówkę, wyjmuje dwa jajka, masło, koperek, kroi chleb, odkrawa skórkę; jajka gotują się na miękko, już prawie gotowe, wyjmuje z gorącej wody, zalewa zimną, wsadza do pojemników, posypuje koperkiem, obok układa na talerzu dwie kromki chleba z masłem, bez skórki, zanosí do pokoju, Kasika czeka. W łóżku.

- Gdzie dżem? - pyta z pełną buzią.

- Zapomniałam, przepraszam. - Babcia wraca, wyjmuje konfiturę ze śliwek, odkręca słoik, zanosí.

- Co? Ze słoika mam jeść? Od kiedy?

Babcia wraca, nakłada konfiturę na porcelanowy talerzyk, zanosí Kasice z łyżeczką.

- No, i tak ma być - uśmiecha się dziewczynka, nakładając słodycz na kromkę chleba. Bez skórki.

- Ty, Piotrek, byłeś kiedyś w Rynku? - zagaduje Kasika chłopczyka, który ssie smoczek, siedząc na krześle w swoim mieszkaniu.

- Daj trochę. - Wrywa mu smoczek, wkłada do ust. - Nieźle. Mhmm, całkiem nieźle. Chyba nie miałam czegoś takiego. Miłe ssanie...

Piotrek patrzy i nic nie mówi.

- Ty co? Upośledzony jesteś. Ale ja jestem starsza, więc się nie bój.

Widziałeś kiedykolwiek miasto, Rynek? Tam są kawiarnie i kwiaciarki, i nawet połykacze ognia... Więc?

Oczy Piotrka błyszczą. Usta ma otwarte w zadziwieniu. Tak, on nie widział ani Rynku, ani połykaczy ognia.

Ma na sobie króciutką koszulkę i spodnie, ale już, już jest za drzwiami.

- Chodźmy! - woła. Koszulka jest tak krótka, że widać mu chudy brzuch. Ale co tam! I tak wygląda jak mała dziewczynka. Zaniedbana, brudna mała dziewczynka.

- Dokąd to? - pyta babcia z okna. On się czerwieni, purpurowieje i chowa w sobie. A Kasika odpowiada:

- Do cukierni!!!

I już są za bramą.

Ulica. Ludzie. Strach. Ale idą.

Zapach grilla, potu, tłum. Kasika prowadzi przerażona, ale chowa w kieszeni strach. Już, już widzą kwiaciarki na Rynku Głównym, tam się kryją jak w jaskini. Ona ma jakieś pieniądze, więc kupuje parę róż, tak ze dwie, żeby jeszcze starczyło na wodę mineralną w najbliższym sklepie.

Teraz siedzą na ławce, piją wodę i chronią przerażenie.

- Wracajmy - mówi cicho chłopczyk.

Trasa jakby ta sama, ale nie. Próbują i nie trafiają.

Gdzie dom?

Jakieś inne ulice, inne słowa.

- Proszę nas zaprowadzić do domu - mówi Kasika do policjanta.

- Czyli dokąd? - pyta.

- Do domu - odpowiada prawie z płaczem.

W końcu mówi, z kwiatami w rękach: ten adres, tylko ten...

I policjant już wie, to pięć minut stąd, odprowadza i już są na swoim podwórku.

Jakie to miasto dziwne.

Kasika biegnie do babci, Piotrek do matki. Już nigdy więcej.

Kasika wtula się w fartuch, bezpiecznie?

Róże rzuca na podłogę.

- Skąd je masz? - pyta babcia.

- Nie wiem - mamrocze przez łyzy - z tłoku, tłumy, ulicy...

- Nie idź tam więcej.

- Nie, nie, za nic. Tu zostać chcę, już nie pójdę, nie - płacze.

I znów powtarza się wieczorny rytuał...

Szczupła dziewczynka z rozpostartymi ramionami i długimi włosami, na stojąco, powoli obraca się w wannie zgodnie z ruchem wskazówek zegara; minę ma poważną, patrzy gdzieś w głąb siebie, może dalej...

- Zrób mi kanapkę do łóżka - prosi.

I babcia idzie, i odkrawa skórkę, i podaje małą kromkę z pomidorem, a ona je zachłannie, jakby świat miał się skończyć. Zasypia. Z resztkami chleba na twarzy.

Babcia patrzy. Włosy zakrywają tę piękną twarz.

Dlaczego łyzy gromadzą się w oczach i spływają po policzkach? Czemu ta dziewczynka tak boli?

- Babciusiuiuuuu - przebudza się dziewczę. - Jak dobrze być w domu!
Zrób mi śniadanie.

Ale staruszka śpi. Kasika popycha ją, szturcha.

- No wstawaj! Śniadanie! - Szarpie babcię za włosy.

Staruszka budzi się niemrawo, jeszcze w półśnie idzie do kuchni, kroi chleb, odcina skórkę, smaruje masłem, gotuje kakao, wszystko układa na tacy.

Idzie.

- Tyle?! Gdzie jajka? Dżem? - pyta Kasika, odbierając tacę, a babcia wraca do kuchni po słoik konfitur. Jajek nie ma siły gotować. No i dobrze, kładzie się z powrotem, a ta dziewczyna je i je.

- Chcę dwa jajka na miękko! - żąda z pełną buzią. - Ale już!

Babcia wstaje i maszeruje do kuchni, siada na zydelku, wrzuca jaja na wrzątek, prawie zasypia, ale czeka, są! Wyjmuje, zanosi, niech je, niech da mi spokój.

Ma, wreszcie.

Požera te jajka i chleb, i dżem, jakby nie jadła od miesiąca. I rzuca na podłogę talerzyki, i znów stara się zasnąć.

Sen nie przychodzi do Kasiki. Wstaje. Jeszcze bym coś zjadła. Szuka jedzenia.

Żarcie! - tylko taka myśl w głowie.

Grzebie w słoikach, nie może znaleźć chleba, szarpie i wrzuca do ust co się da. Głód, głód, zaspokoić głód!

Dlaczego ona tak śpi??? Chcę coś na ciepło. Śpi sobie, starucha. No to pośpi.

Kasika bierze tabletki z szuflady, rozgniatą widelcem, jest papka, wrzuca do szklanki.

- Napij się, babciu - znów ten głos.

Staruszka bierze szklankę.

- Chciałaś mnie otruć? - łyzy zmieszane ze śmiechem.

- Ja tylko jestem głodna! - wrzeszczy ta dziewczyna, która jeszcze niedawno była dzieckiem.

Stara kobieta idzie i ponownie przygotowuje jedzenie. Niech ma, byleby się zamknęła, myśli. I te myśli ją osaczają jak poczucie winy.

A dziewczyna pochłania wszystko, jakby nie jadła od lat.

- Dobrze - gada. - Masło, więcej masła!

Babcia przynosi całą kostkę i ta ją zjada, jakby tłuszcz coś tu miał zmienić.

- Trzeba to przespać - mamrocze dziewczyna ustami wysmarowanymi masłem. - Miasto jest złe.

Ale jakże interesujące. Śnią jej się ludzie w kolorowych ubraniach.

Rozmawiają, gestykują, śmieją się, czytają gazety, piją piwo, obejmują się, spacerują. Śnią się kolorowe witryny sklepów. Kwiaciarki z wazonami pełnymi róż...

Kasika uśmiecha się przez sen. Miasto jest złe, ale na pewno nie monotonne. Jak ta kamienica.

Czy ona w ogóle jeszcze istnieje? Czy ktoś tu naprawdę żyje?

Dziewczynka budzi się nagle, łapie babcię za ramię.

- Dlaczego mieszkamy z duchami? - pyta histerycznie. - Truposze, zombi, babciu! Oni nie są żywi!

- Już dobrze, kochanie, uspokój się, to tylko sen, tylko sen. - Babcina dłoń głaszcze włosy dziewczynki.

Boże, nie wiem, jak z tobą rozmawiać...

* * *

- Ktoś puka! - woła radośnie Kasika. - Do nas!

Do nas! I to nie jest listonosz, bo on tutaj nie przychodzi!

Dziewczynka jest w białej nocnej koszuli. Ma długie lekko rudawe włosy, a małe piersi zarysowują się pod materiałem. Twarz dziecinna. Ciało nie.

Biegnie do drzwi - tym razem babcia jej nie wyprzedziła - i niemal traci mowę. Oto mężczyzna.

Wysoki, postawny. Patrzy na nią. Ona na niego.

- Jestem twoim dziadkiem - niewyraźny głos.

- A co to znaczy? - szepcze dziewczynka.

- Chcę cię poznać.

- Jestem Kasika, a ty?

- Dziadek Tadeusz i...

Babcia dociera do drzwi.

- Co ty tu robisz?!

Mężczyzna nie odzywa się, tylko patrzy. I babcia wpuszcza go do domu. Nie ma innego wyjścia.

To nie jest ten, który”zginął na wojnie”. To ojciec ojca Kasiki. Mężczyzna siada na tapczanie. Oczy ma jakieś zaczerwienione, kaprawe. Płacze? Kasika jest zachwycona.

- No powiedz coś - mówi.

- Nie wiem... tak długo cię nie widziałem. Wróciłem.

- Z wojny?

- Nie. A może tak.

Babcia idzie z kuchni, niosąc tacę, na której stoją filiżanki i dzbanek z herbatą. Stawia tacę na stole i siada.

Czemu jest taka miła?

- No to skoro już jesteś... - Nalewa herbaty i podaje mu tę porcelanową filiżankę, a on ją bierze i wypada mu z topornej dłoni.

- To nic, to nic. - Babcia zrywa się z krzesła.

- To ja już pójdę. Mogę przyjść jutro? - Mężczyzna wstaje i patrzy na staruszkę.

- Tak!!! - woła radośnie Kasika.

- Chodź na chwilę do kuchni - prosi babcia mężczyznę.

Drzwi od pokoju zamyka na klucz.

- Po co przyjechałeś? Widziałeś ją, jak była mała, nawet cię nie pamięta.

Po co?

- Aniu, ona nie pamięta, ale ty tak. Wiesz, dlaczego wyjechałem, dobrze wiesz. Drugi raz mi jej nie zabierzesz. Jestem chory, niewiele mi zostało i jeśli znów mnie odetniesz, pójdę do sądu. Mam prawo ją widywać, a ty nie możesz zamykać jej w domu i...

- I co? Mogę robić, co chcę. To dla jej dobra!

Nie zna świata. Ledwie ulicę pod domem i Planty, jak jeszcze chodziła do szkoły. Raz poszła sama do Rynku i wróciła z płaczem.

- Nie zna? Widziałem telewizor w pokoju mówi dziadek.

- Nie lubi. Woli czytać. Cały jej świat to książki.

Tylko z nich go zna.

- To niemało - upiera się mężczyzna. - Więzisz ją, ale nie chcę awantur.

Będę jutro.

- Przyjdź pojutrze, muszę się zastanowić. Porozmawiać z nią. No, idź już - wypycha dziadka i próbuje zamknąć drzwi.

- Daj jej to, proszę. - Mężczyzna usiłuje wcisnąć mały pakunek przez szparę w drzwiach, niemal przycinając sobie rękę.

- Pojutrze! - Trzask drzwiami. Przekręcanie zamka. I znów krzeselko, tabletki, woda, ciężki oddech.

- Wypuść mnie! - Kasika wali pięściami w ścianę. - Natychmiast! Wypuść mnie, nooooo!!!

Gdzie dziadek? Dlaczego wyszedł???

- Przyjdzie wkrótce, uspokój się - mówi babcia.

Kasika chce otworzyć drzwi na klatkę schodową, ale nie ma kluczy. Szarpie klamkę.

- Opanuj się! Siadaj.

- Tylko mi nie mów, że to kolejny obcy - grozi dziewczynka. - Wiem, że nie. Otwórz drzwi.

- Gdzie chcesz iść? Nie dogonisz go. Wróci.

- Do Piotrka.

- To idź.

Kasika biegnie po schodach, wpada do dozorcówki.

- Piotrek, daj smoczek, szybko! No, gdzie go masz? - Biega po małej dusznej klitce, w końcu znajduje, szybko wkłada do ust, kładzie się na wersalce i ssie z zamkniętymi oczami.

- Może chciałabyś zupy? - pyta nieśmiało pani Marysia, ale dziewczynka nie odpowiada. Jakby pogrążona w letargu.

W końcu otwiera oczy, odrzuca smoczek i wychodzi.

W ogródku gruba Zosia pochylona nad rabatkami.

- Co pani tak jęczy: "o Boże, o Boże"? - pyta Kasika.
- Stara jestem, kości mnie bolą - mówi Zosia, trzymając się za kręgosłup.
- No dobra, ale czemu mówi pani "o Boże", a nie "boli mnie"?
- W Boga nie wierzysz?!
- Wierzę, nie wierzę... a pani?
- Cholera jasna, ty dziewczeczko, już ja pogadam z twoją babcią!
- A po co? Nie lepiej z tym pani Bogiem?
- Już On patrzy na ciebie z nieba, nie bój się!
- Z nieba... Niebo jest niebieskie i ma chmury... - zanosi się śmiechem

Kasika - a Zosia gruuuuuuba i dziecinna, ha, ha...

- Chryste panie, jak ty bluźnisz!
- Taaa? A czytała pani jakąś książkę? Może Biblię?
- Na rany Chrystusa, ja tu plewię!!!
- Plewię i wzywam Pana Boga nadaremno śmieje się w głos Kasika i

biegnie do domu.

- Jak mogłaś? - pyta babcia. - To biedna, nieszczęśliwa...

-... starucha - przerywa Kasika - zakłamana i głupia. Dobrze wiesz. Sama taka jesteś. No, głupia to nie, ale zakłamana - tak. Jak wszyscy dorośli. Wykąp mnie! A potem masz mi opowiedzieć o dziadku.

I znów powtarza się wieczorny rytuał, mimo że do wieczora jeszcze daleko.

Czysta, w koszuli nocnej, choć to jeszcze nie noc, idzie do łóżka. Prawie się kładzie, ale...

- Paczka???! Gdzie ta paczka od dziadka?

Babcia przynosi mały pakunek owinięty w tekturę i folię, a Kasika zrywa, szarpie opakowanie, już, już musi zobaczyć, co jest w środku!

- Cholera, miś - mówi, ale przytula go do twarzy i zasypia. Znowu.

Czemu ona tyle śpi?, zastanawia się babcia, jednak ta myśl zaraz ulatuje z jej siwej głowy.

A potem się okazuje, że to anemia. Ludzie w białych ubraniach i z kropłówką mówią: "Ona musi wychodzić. Kiedy ostatni raz była na powietrzu?"

W parku? Na wakacjach? Konieczne są spacery".

Przepisują leki i już ich nie ma.

A więc anemia, zastanawia się babcia, rany boskie, przecież dobrze ją karmię, samo zdrowe jedzenie, warzywa, ryby, prawdziwa wiejska kura od baby z targu, soki z marchwi... co się stało? Spacerzy? Chcą ją odciąć ode mnie. Ale to lekarze, jeśli tak mówią... Będę się męczyła na spacerach. Nie dam rady, ale...

Myśl sama się nasuwa.

- Pozwolę ci widywać się z nią, jeśli będziesz zabierał ją do parku i nad Wisłę - mówi kategorycznie do dziadka podczas kolejnej jego wizyty, a on się rozpromienia, jakby nagle słońce wyszło zza chmur. - Ona potrzebuje spacerów, a ja nie mam sił. Astma mnie wykańcza. Tylko... szukaj jakichś w miarę odludnych miejsc. Im mniej ludzi wokół, tym lepiej, pamiętaj. I z nikim ma nie rozmawiać. Mów jej, wciąż powtarzaj, że park jest bezpieczny tylko wtedy, kiedy jest w nim z tobą.

To moje warunki, słyszysz?

- Słyszę - odpowiada cicho dziadek.

- I nie kupuj pluszowego misia nastolatce.

Park, drzewa, ławki, latarnie, jak cudownie.

Kasika szaleje na rowerze, który właśnie dostała, a dziadek siedzi i czeka, aż dziewczynka się zmęczy. Wreszcie podjeżdża, opiera rower o ławkę i siada zdyszana.

- Dziękuję! Dziękuję! Bomba sprawa ten rower. - Całuje dziadka w szorstki policzek. - A ty czemu nie masz swojego?

- Ja? Nie dałbym rady. Stary jestem i chory.

Babcia ci nie mówiła?

- Czego?

- Mam białaczkę. To taka choroba, nazywa się rak i...

- Rak! W jednej książce bohaterka umarła na raka. Też umrzesz?

- Tak, ale na razie mnie leczą. Jeszcze nie umrę, nie bój się.

- Ja się nie boję. Tylko kto będzie chodził ze mną do parku? - martwi się

Kasika. - Ojej! But mi się rozwiązał - patrzy na dziadka.

- To zawiąż i wracamy do babci.

Dziewczynka nie spuszcza z niego wzroku i wreszcie dziadek, osłupiały, schyla się i zawiązuje tenisówki Kasiki.

Odprowadza wnuczkę do domu.

- Przyjdę znów, może ju...

- W niedzielę - mówi stanowczo babcia. - Dziękuję za rower. Idź już.

Niedziele mogą być wasze. Tylko niedziele.

Kiedy Kasika zasnęła, babcia otworzyła kufer.

Dziesiątki zeszytów, a każdy zapisany. W jednych powieść dziewczynki, w innych opowiadania.

A więc pisze, to dobrze, myśli babcia, przeglądając zeszyty. Odkłada je delikatnie jak porcelanę i zamyka kufer. Czuje się szczęśliwa. Zrobię jej sernik!

Piecze do trzeciej rano. Życie znów jest piękne.

* * *

Kamienica żyła po swojemu. Sąsiadka namiętnie trzepała dywany, inna tkwiła w oknie i wystawiała miednicę, gdy padał deszcz, a gruba Zosia plewiła pod czujnym okiem zboczonego męża. Wszyscy obserwowali pojawienie się dziadka. "Obcy - szeptali. - Wpuściły go". Zosia dwoiła się i troiła, by wydobyć od babci, kim jest ten postawny mężczyzna. Bez skutku. "Tajemnica", szemrali.

Kasika słyszała te szepty i myśli i uśmiechała się sama do siebie: widzicie? Wcale nie jestem taka dziwna i samotna. Mam teraz babcię i dziadka!

Babciu, to był jedyny prawdziwy mężczyzna, jakiego znałam. Wysoki, w kapeluszu, długim płaszczu... elegancki, spokojny, małomówny Daj mi rower, daj park, daj powietrze. Dlaczego więc mam takie poczucie winy?

* * *

- Nie chcę sernika - mówi, kiedy babcia przynosi jej wielki kawałek ciasta. - Tuczy. Chcę na rower.

- Nie wierzę... nie zjesz?

- Hmm... - dziewczynka patrzy na ciasto nooo dobra, ale tylko ten jeden kawałek. Resztę możesz dać sąsiadom. Najlepiej Piotrkowi. On nawet nie wie, co to jest sernik. Je tylko kapustę.

- Od kiedy jesteś taka dobra?

- Nie jestem dobra. Mam w tym interes. Daj mi resztę ciasta. Zaniosę mu.

- Nie dam! Nie! - woła babcia i idzie do kuchni, zakrywa twarz fartuchem.

- Przestań płakać, to tylko sernik - mówi Kasika, głaszcząc babcię po ramieniu. - Jak ci tak zależy, to nie zaniosę.

- A... a zjesz?

- Oczywiście, kochanie - odpowiada Kasika. - A teraz mam ochotę na pisanie, dobrze?

- Dobrze. - Babcia wyciera twarz. Niepewnie się uśmiecha.

Kasika szybko porywa przykryty serwetą sernik i wybiega z mieszkania. Pokonuje podwórko, wpada do dozorcówki.

- Masz! - niemal rzuca ciasto na stół i puszcza się z powrotem, zostawiając osłupiałego Piotrka i Marysię.

Wraca do kuchni, w której wciąż siedzi babcia.

- I co teraz? No co?! - pyta agresywnie staruszkę. - Na drugi raz zrobisz, jak ci każę.

Zamyka się w pokoju.

Babcia opiera głowę o kuchenkę, przymyka oczy.

Już nawet tabletki nie pomagają. Ma ich dość. Chce swoją małą dziewczynkę, która trzymała ją za rękę, zasypiając. Dziewczyna wychodzi z pokoju, głośno trzaskając drzwiami.

- Już nie będę pisała - oznajmia - wolę chodzić do parku. Albo do kina.

Nigdy nie byłam w kinie. Już napisałam wystarczająco dużo i wcale tego nie lubię. Ślęczenie przy biurku! Wciąż tylko dom i podwórko, podwórko i dom!

- Studiować też nie chcesz?

- A po co? Przeczytałam wszystkie twoje książki z biblioteki. I co mi to dało? Z kim mam o tym rozmawiać? Z Piotrkim? Z tobą? Zresztą rozmawiać też mi się nie chce.

- A coś ci się w ogóle chce?

- Żyć!!! Żyć mi się chce! Nie umiem się umyć ani zrobić sobie jedzenia, ale na szczęście ty jesteś.

- A jak mi się coś stanie?

- Nie może ci się stać! Masz dbać o siebie. Ko~ nie c rozmowy. - Kasika odwraca się na pięcie. - A propos, zrób jakieś kanapki - dodaje.

Babcia kroi chleb, od każdej kromki odcina skórkę...

Niedziele jak wybawienie. Kasika szalała w parku, ale w kółko ta sama przestrzeń zaczynała ją nudzić, te same ławki, drzewa, nawet rower.

- Chcesz, to ci opowiem, jak pierwszy raz się spotkaliśmy - zaproponował dziadek, gdy usiedli na ławce.

- Eee, nie chcę. Kiedyś bym chciała, ale już mnie to nie obchodzi. Chcę o czymś innym - odpowiada.

- O°czym?

- Chcę, żebyś zabrał mnie do miasta, no wiesz, do Rynku, tam gdzie są kwiaciarki.

- Babcia zabroniła...

-...i co z tego? Nie dowie się. Zabierz mnie albo więcej się nie zobaczymy - grozi Kasika i dziadek ustępuje.

Dziwna ta dziewczynka, myśli, dziwna i trudna.

Nie rozumiem jej. Sprawia, że jestem szczęśliwy i jednocześnie odczuwam ból. Jak Ania to wytrzymuje? I przed czym ją tak chroni?

- Albo wiesz co? - ożywia się Kasika. - Rynek może poczekać. Kup mi

takiego pieska, takiego, jaki tam biega. Nigdy nie miałam zwierzaka. Popatrz, jaki wesoły i miły! Jak ci ludzie się z nim bawią!

I za tydzień dziadek czeka na podwórku z małym pudelkiem na smyczy. Białym.

Nie, tylko nie to, myśli babcia, ale nie ma wyboru.

„Obcyyyyyyyyyyyyyyyyyy”, syczy kamienica. Wszyscy wylegli do okien i na balkony. Nawet pani Irena.

- Mój piesek był podobny - mówi. - Taki sam. Ale stary. Zdechł. Zawiozłam go do spalarni.

I jestem sama.

„Wyrzuuuuciłaś gooo”, syczy kamienica.

- Musiałam - mówi pani Irena. - Musiałam go oddać. Do schroniska. On już nie chodził. - Cofa się w głąb mieszkania.

* * *

- Jeść! - woła Kasika, wracając z brudnym, zabłoconym pudelkiem. Pies zaraz robi siku na środku pokoju, po czym wskakuje na łóżko i je z talerza dziewczyny.

Babcia tylko patrzy. Wzrok ma inny. Może to starość?

- Sprzątnij to - mówi nagle.

- Jaaa? - pyta Kasika z pełną buzią. - Chyba żartujesz?

I babcia bierze szmatę i ściera siki, które ubabrały jej wypolerowaną podłogę.

Teraz śpią w trójkę: Kasika, pudelek i babcia.

Nikommu nic się nie śni.

Bo sny odeszły.

Ten pies, to jego wina, jego! Babcia zaciska zęby, jest wściekła. Nie chce go tu. Nikogo nie chce poza swoją dziewczynką,

„Ty potworze, pedofilu, nie zbliżaj się do mojego dziecka. Zawołam policję, jak jeszcze raz tu się pojawisz. Anna”.

Taki list. Krótki. Napisany odręcznie na papierze w linie. Dziadek go czyta i nic, nic nie rozumie. Ale wie: nie może więcej przyjść na podwórko tej kamienicy. Kładzie się do łóżka, o ile ten barłóg można nazwać łóżkiem, i zasypia.

Bez snów.

Już się nie obudzi.

* * *

- Zosia? Jemy obiad. Czego chcesz? - Babcia otwiera drzwi.

- Mhm... Ja tylko... coś... no... Tadeusz umarł...

- No to co? - pyta babcia, a Kasika podnosi do ust łyżkę pomidorowej.

- Twój dziadek nie żyje - Zosia zwraca się do dziewczynki.

Kasika patrzy chwilę na sąsiadkę i wraca do zupy. To jej ulubiona. Długie włosy wpadają do miski. Ładnej, w różyczki. Babcia bierze grubą Zosię za ramię.

- Idź stąd, idź! - wypycha z całej siły sąsiadkę. Choć sarna chuda i drobna. Może jedna czwarta Zosi. Ta ostatnia ma puciołową twarz i mimo wieku mało zmarszczek. Przaśna jak zarumieniona pomoc domowa. Garkotłuk, stary burak, jak mawia o niej Kasika.

Twarz babci jest zapadnięta i pobrużdżona, wciąż widać na niej ślady dawnej urody, ale już nie przypomina "babci", prędzej wiedźmę. Ale kiedy się uśmiecha, a rzadko się to zdarza, ma w oczach coś z babcinego ciepła. Ręce jej drżą, niełatwo utrzymać kościste palce na wodzy. Niemal każdego dnia coś z nich wypada z hukiem, zaśmiecając podłogę. Nikt tego nie sprząta, trzeba uważać, by się nie skaleczyć, bo babcia nikogo nie wpuszcza do domu poza Zosią i nikomu, nawet grubej, nie pozwala się tu panoszyć. Tylko dozorca przynosi węgiel i pali w piecu, jak zawsze, od lat. Pomarszczony zółw, ale silniejszy. Poza nim chyba nie ma tu żadnych mężczyzn, jeśli jego można tak w ogóle nazwać. Adam z parteru zniknął już kilka miesięcy temu. Wyszedł za bramę i nie wrócił. Po prostu.

Kamienicę zarasta dziki bluszcz i pokrywa pleśń.

Śmierdzi grzybem, a w ogródku plenią się chwasty.

Nikt nie zwraca na nie uwagi, nawet Zosia. Lokatorzy wieszają na balkonach pranie, które schnie całymi dniami. Mimo słonecznego lata w tej kamienicy wciąż pada deszcz i wszystkim jest zimno. Nawet Kasice. Siedzi teraz otulona w grubym wełnianym kocu, a po mieszkaniu łązi stary pudel.

Na podłodze leżą jego włosy i kupy, rozlewające się kałuże sików. Zastygłe wyglądają jak jajecznicę, którą Kasika jada na śniadanie. Pies wygina się i żebrze o dotyk, ale dziewczyna odtrąca go. Wykrzywia twarz w grymasie obrzydzenia.

Jestem brudna jak ten pies, myśli, ale co za różnica? Babcia też. Mieszkanie też. Wszystko jest brudne. Wreszcie możemy być sobą. Bez zafajdanej porcelany. Swoją drogą ciekawe, gdzie jest? W babcinej szafce? Gruba już pewnie na nią czyha. Nie doczeka się, co to, to nie.

* * *

Staruszka porusza się po domu za pomocą chodzika. Dużego, metalowego, który dali jej lekarze w szpitalu. Inaczej by się przewróciła. Ma niedowład nóg, astmę i cukrzycę. Ledwo widzi.

Gruba Zosia przynosi zupy i gotowane warzywa. Czasem mięso. Z trudem już wchodzi na drugie piętro.

Pani Irena zmarła w zeszłym roku. Mieszkania na pierwszym piętrze, te co mają wspólny kibel na korytarzu, cuchną na całą klatkę schodową. Chyba nikt tam nie sprząta. Albo nie mieszka. Jeszcze ta od miednicy z deszczówką wciąż ma się dobrze i jak zwykle siedzi w oknie. No i pani Marysia z synkiem, a może dziewczynką, kto to wie, przy tych długich kręconych włosach, drobnej twarzy i bladej cerze. Dalej jest toto małe, wcale nie urosło. Dziewczynie dawno się znudził, już do niego nie chodzi.

- Cholerny dom starców - mówi Kasika głośno i chowa się pod parapetem. Wysoka, ledwo się mieści w swojej kryjówce. Ale teraz może

włosami zakryć prawie całe ciało. I tak też robi. Gęste jak las. Nikt jej nie znajdzie. Gęste. Jak puszcza. Jak wstrętny, niedzielny, tłusty obiad. Zapachy biją od kamienicy, aż się robi niedobrze. Wszyscy gotują? Wszyscy jedzą?

Kasika zakrywa twarz, by się odgrodzić od smrodu.

Stuk, stuk, stuk... To babcia chodzi po mieszkaniu.

Jak Ja Tego Nienawidzę.

Naj chętniej wyrwałaby staruszce ten dziwny przyrząd, który dali jej lekarze, ale jak sama zrobi sobie obiad?

Teraz, poza tym, co podrzuci czasem gruba Zosia, jadają raz dziennie. Na więcej ich nie stać.

- Obiadokolacja - próbuje żartować babcia, podając na dużym talerzu ser ze szczypiorkiem.

Stuk, stuk, stuk...

- Pyszny ser! Pyszny ser! Pyszny ser! - woła Kasika i tańczy wokół staruszki, nagle ogarnięta wściekłością. Nie będzie jadła tego świństwa.

Babcia upada.

Dziewczyna patrzy zaintrygowana. Bohaterowie książek mają takie drgawki. A potem nieruchomieją. Na zawsze.

Kamienica aż drży z oburzenia: co za chamstwo, obrzydlistwo, zostawiła ją ta "dziweczyna!"

Ale staruszka żyje.

Panowie w białych kitlach... znowu. Co za monotonia. Szybko poszli na szczęście.

„Dziweczyna” już nie taka nieletnia, ano nie.

Smak wolności czuje, zawodzi kamienica i przybywa jakby pleśni. Smród się nasila.

A ona idzie.

Za bramę.

Za park.

- Niech pan już mnie zostawi, błagam... - prosi, ale on dyszy nad nią i rękami trzyma za obnażone piersi. Ugniata. Przywala ciałem. Dyszy, jak on dyszy! Włosy jej bierze do góry, ściska jej piersi i wkłada dłoń pomiędzy. To boli, ale... jak słodko. Pociera ją mocno, coraz mocniej, rozrywa sukienkę, przewala na wznak, pierś wkłada sobie do ust, potem językiem dotyka pomiędzy, a to coś jej wkłada...

- Ssij! - rozkazuje.

Ona ssie, to umie. Obcy jęczy. Kasika wije się i jęczy jak on.

- Mocniej - mówi. - Mocniej. Błagam, dotykaj mnie - bełkocze. - Rozszerz moje uda, proszę. Chcę!

Rozkłada się sama, ręce na bok, nogi na bok, ile się da, głowa bije o chodnik.

Obcy wybucha nagle, trzęsie się i zamiera, a ona płacze. Wtedy ją puszcza, nagą okrywa płaszczem.

Obok poniewierają się strzępy sukienki.

- Gdzie ty mieszkasz, dziewczynko? - pyta.

Krążą po mieście, aż Kasika pokazuje palcem - to tu, tu! I facet ją puszcza, a ona biegnie, wali w bramę rękami, łokciami, kolanami, stopami, krzyczy:

- Babciuuuuuuuu! Wpuść mnieee! Proszęeeeeeeeeeee!

Cisza.

Osuwa się na chodnik, aż nad ranem pani Marysia ją wpuszcza i Kasika biegnie na górę, do babci, pod kołdrę!

Ledwo się budzi, a wszystko wraca. Znow to czuje. Jak łaskocze, jaka słodycz i ból, i brak. Sięga dłonią tam, gdzie tak woła, porusza, jak on to robił.

Nagle wybucha, Niebo znika, noc znika, dom znika... tylko ta rozkosz!

Kasika otwiera oczy, wciąż nieprzytomne, a stara kobieta stoi z kawałkiem ciasta na talerzyku i patrzy.

- Zjesz, prawda? Zosia upiekła - mówi.

- Tak, babciu - dziewczyna wyciąga rękę po sernik i nagle staruszka się cofa. Talerzyk, ciastko, łyżeczka! Fru, za okno! Babcia siada pod parapetem, jaka ona malutka.

Kasika podchodzi, ależ długie włosy ma ta kobieta.

- Obetnę je - mówi. - Ty nie masz siły ich myć, prawda? Są tłuste.

I już wraca z nożyczkami i tnie, tnie, tnie. Siwe pukle spadają na parkiet, a babcia krzyczy.

Kasika odwraca się, idzie do łóżka. Pod kołdrę, Wreszcie ciepło i dobrze. Niech ta stara kobieta się zamknie.

- Babciu, no chodź już. Bez ciebie nie zasnę.

Przecież wiesz... Proszę... - bezbronny, słodkawy głos.

Staruszka posłusznie kładzie się obok, bierze dłoń dziewczyny w swoją, o cholera, pudel. Leży między nimi nieżywy, ale sztywność niczego tu nie zmienia. Nikt nie dał mu jeść. Nikt nie dał mu pić.

Nikt go nie chciał. Zimno, ciemno, pusto... starczy, by umrzeć.

Ledwo noc mija, a dziewczyna pędzi na podwórko.

- Dokąd to??! - woła babcia przez okno, krztusi się, zanosi kaszlem.

Kasika biegnie za bramę, za park. JEST! Siedzi na ławce, jakby nigdy z niej nie odchodził.

- Mam cię odprowadzić? - pyta mężczyzna po wszystkim, leżąc na wznak w krzakach. - Wiesz, jak trafić do domu?

Ona nie słucha.

- Dotknij mnie - mówi i on już tam jest między pośladkami, już błądzi. Dłoń jak sto motyli.

Wchodzi w nią. Sapie.

Och, nie będzie sceny z Cortazara. Tu policja się nie pojawia. Wszędzie tylko krzaki i krzaki. Puszki po piwie, coli, puste butelki, torebki po tanich chipsach.

Leżą obok siebie zdyszani. Jego spodnie gdzieś obok jej oczu, jej majtki?

ta "dziweczyna" wybiegła na podwórko i zaczęła wołać o pomoc. Więc wezwali pogotowie, ale staruszka już nie żyła. Nic więcej nie wiedzą.

„Dziweczyna” jest samodzielna, w końcu ma osiemnaście lat, niech ją pytają. Ale o cóż tu pytać?

Policjanci odchodzą, to tylko jakaś stara kobieta umarła, nic więcej. Czemu "dziweczyna"?, dziwią się. Ładna ta mała i taka niewinna, a jakie ma włosy! Rozsądnie mówi, rzeczowo. Jej babcia zmarła o świcie, jak wielu ludzi, bo świt ma to do siebie, że jednym daje życie, a innym odbiera, powiedziała.

Staruszka pojechała do kostnicy, gdzie jej miejsce, a ona teraz wszystkim się zajmie, dziękuję panom, do widzenia. Ta kamienica jakaś dziwna jest, same staruchy i jedna babka z dziewczynką z długimi lokami na głowie, też chyba nienormalna. A loki na wałkach kręcone. Nieprawdziwe. Biedna, biedna "dziweczyna", myślą w drodze do komisariatu.

I też niczego sobie.

Jeden z nich wraca. Drzwi są otwarte. Ona stoi, jakby wiedziała. Ubrana tylko we włosy. Policjant rzuca dziewczynę na ziemię, drżącą ręką rozpina spodnie i bach, bach, bach, choć ta mała płacze i krzyczy. Ale dalej! Bach! I jeszcze raz! Otrzepuje się, co za wariatka z tej małej. Popierdolana i tyle.

Wychodzi, nim mała się ocknie, nim wstanie i zobaczy siniaki na ciele, twarzy.

Gruba Zosia dobija się do drzwi, ale ona nie otwiera. Nie wpuści nikogo! Musi zrobić porządek, zanim stąd odejdzie. W pokoju, tym do którego gałąź się wpycha, pełno książek i zeszytów. W kufrze leżą kolejne, starannie poukładane i nawet podpisane.

„Kasika Mowka”? Straszne dziwactwo! Nie pamięta, by ktoś poza babcią tu mieszkał, a przecież staruszka by się tak nie nazwała. Anna miała na imię. Taki zwyczaj rodzinny, prababka też miała Anna i ona też ma.

Ania, Aneczka, Aniuś. Nie jakaś "Kasika"! NIKT, nikt, nikt na całym świecie na pewno tak się nie nazywa.

Zbiera swoje rzeczy, ledwie jedna torba, resztę zostawia nowemu lokatorowi. Dziwny jakiś, loki ma prawie do pasa, ale dziewczyna bez obaw zostawia bibliotekę i zeszyty, bo ten, choć wygląda jak kobieta, to chyba jest rozsądny. No i płaci. Mieszka ponoć w tej samej kamienicy, ale z matką, a już niemal jest dorosły i pracuje, ileż można z mamusią?

Zaopiekuje się mieszkaniem, będzie płacił w terminie, a w razie czego proszę, to mój telefon.

Wychodzi spokojna, prawie uśmiechnięta. Ignoruje spojrzenia i szepty, mija bramę. Do widzenia!

Ach, jak rzeško, ludzie tacy kolorowi, ulice rozświetlone szyldami, reklamami... Miasto jest piękne.

I nie psuje się od wewnątrz, nie jest omszałe, wilgotne i zagrzybione.

Na pewno nie.

* * *

- Masz trzydzieści osiem lat! Co ja jestem, sponsor? Wywalili cię z tyłu prac! Idź znowu do spożywczaka, może tam cię przyjmą, o ile nauczysz się wstawać rano i opanujesz te swoje cholerne fobie i tiki! - krzyczy mężczyzna, a kobieta siedzi na rozścielonym łóżku. Patrzy tępo w podłogę.

- No idź, na kasę czy co! Mam dość. Jak cię zmusić do pracy? Nie dam już ani grosza. Na szczęście nie jesteśmy małżeństwem, lalo. A teraz idę spać, rano do roboty w przeciwieństwie do ciebie, królewno. Wiesz, jak wyglądałby dzień z tobą, gdybym się zdecydował na wspólne życie??? Nie wiesz. To ci to napiszę.

Rano kobieta znajduje kartkę. Koślawe pismo, trudno odczytać, ale treść jasna:

„Zrywam się o poranku z pierwszym brzaskiem (powiedzmy 09) nie wolno mi słuchać radia (zawsze słucham radia rano jeśli takowe jest) herbata - b. ważne i ulubiona czarna lub miętowa najlepiej potem lekkie śniadanie i gazeta (trzeba do kiosku przy okazji jakieś zakupy) następnie karczemna

awantura że jestem głośno że spać nie daję że jest środek nocy (myślę tak koło 11) więc wychodzę i czuję się jak zbity pies wkur że od rana awantura za co i pocholere więc błąkam się po mieście (no chyba że mam coś do załatw) i zastanawiam się jak to zmienić (no jak?) dlaczego nie mogę czuć się komfortowo dlaczego się tak różnimy i nie dogadujemy w banalnych sprawach no jatka myślowa no chyba żebych był górnikiem i miałzechby na szychta na 7 rano ibych wracalsie nazad po 15 z halba na hauze i tambych się walił zmęczony do wyra i potem bych gotował obiad potem myby se gadali i zasypiałbych w szlachmyca i ze stoperem w uchach a we łykend bym z moim kumplem jeździłbych na ryby i my by się nie widzieli do niedziela całki łykend no ale kurcze nie jestem górnikiem i się nie zanosi”.

Kobieta czyta i płacze. Na nic więcej jej nie stać.

„Zanosi” - sześć, „górnikiem” - dziewięć, „ łykend” - też sześć. Liczy automatycznie. Natręctwo pojawiło się niedawno, nie pozwala czytać książek.

Już nie boi się ciemności, nie ma „deski” ani „kurczenia się”, ale to coś, ta mania liczenia, doprowadza ją do rozpacz. Z nerwów co chwilę zaciska oczy, ten tik zna, już kiedyś go miała.

Wraca do sklepu, w którym pracowała i z którego została wyrzucona za notoryczne spóźnianie się.

Kierowniczką, niepokojąco przypominającą grubą Zosię, mówi:

- Dam ci jeszcze jedną. JEDNĄ szansę...

Szansa - sześć.

-... ostatnią. Marsz do kasy. Wydawaj resztę. Tyle chyba umiesz. Kasa fiskalna policzy za ciebie. Bo na dział mięsny już cię nie dam. Nie odróżniasz cielęciny od wołowego. Jak się sprawdzisz, może cię zatrudnię. Dwa dni próbne - kończy kierowniczką.

Ziemiaki - dziewięć, cytryny - siedem, sok - trzy.

Kobieta nie może się powstrzymać, by nie liczyć na głos.

Głos - cztery.

Na czarno - osiem.

- Dość, wypieprzaj stąd, wariatko. - Kierowniczką wygląda jak burak. -
Masz tu dwadzieścia złotych na papierosy i won!

Wontrzy.

- Robisz mi wstyd i odstraszasz klientów. Idź lepiej do psychiatry. I na rentę.

Renta - pięć. Psychiatra - dziesięć. Kierowniczką - dwanaście.

Kobieta woli liczby nieparzyste. Wbiła sobie do głowy, że parzyste przynoszą nieszczęście. Lubi na przykład liczbę trzysta. Przecież urodziła się trzynastego. Pięć to dobra liczba, ale dwanaście wyjątkowo fatalna, kojarzy się z zegarkiem i północą, kiedy to mężczyzna kładzie się spać (z zegarkiem na przegubie), a ona leży w ciemnościach, nie mogąc zasnąć.

W mieszkaniu słychać tykanie. Prosiła, by go zdejmował, ale on nie może zaspać, więc woli mieć go przy uchu. Czasem w nocy sprawdza, która godzina.

Jest starszy od niej, poznali się, kiedy wracała ze sklepu. On pracował wtedy w pasmanterii jako sprzedawca. Teraz jest kierownikiem.

Awans! Pięć.

Był miły. Przynosił jej kolorowe nici i igły. Nie powiedziała mu, że nienawidzi szycia. Schowała je do pudełka. Kiedyś przyniósł guziki, żeby mu przyszyła do koszuli. Nie umiała. Położyła tę koszulę na kolanach i szyjąc niezdarnie, przyszyła ją do swoich spodni. Śmiał się. Ale tylko chwilę. Mówił, że będą razem żyli jak mąż i żona, tylko bez ślubu, bo jeszcze nie wziął rozwodu z poprzednią. Weźmie, weźmie, chwileczkę, to tylko kwestia biurokracji, powtarzał. A potem znikał popołudniami i nie odbierał komórki. Wracał wieczorem, nie mówiąc, gdzie był, i krzyczał, że nie posprzątane, że kolacji nie ma. Krzyczał tak jak teraz.

- Zrób coś z sobą! - drze się mężczyzna. Ma na sobie brudny podkoszulek i gacie. - Mam cię naprawdę dość!

Mężczyzna odwraca wzrok i idzie do kuchni.

- Kurwa! Znow nie ma nic w lodowce. Poza puszkarni. Gdzie chleb? -
cały się trzęsie.

- Odchudzam się.

- Wiecznie! Macioro.

Kobieta się kładzie, próbuje spać. Ale on nawija i nawija, seria pretensji
wystrzela jak z karabinu maszynowego.

-... Nudziaro ty, nawet seksu nie potrafisz, a co dopiero zupę. Tu nie ma
nic do jedzenia. I te twoje włosy. Kiedy je myłaś, kiedy ostatni raz? Nie położę
się koło ciebie. Cuchniesz.

Kładzie się na wersalce.

Cisza zakłócona tykaniem zegarka.

Urojenia, że dom, że mężczyzna, że obiady, spacerzy i kino, i takie te
proste sprawy nasze codzienne.

Ale nie dla mnie.

Miałaś rację, babciu, że mi się nie uda. Ale skąd mogłam to wiedzieć?

Kolejnej nocy wyciąga ze starego słoika pieniądze, przelicza. Starczy.

Raniutko, kiedy on jeszcze śpi z otwartymi ustami, bierze torebkę i jedzie
na lotnisko. Dobrze, że chowała te pieniądze, zbierała od lat. Wystarczy na bilet.

* * *

- Co? Gdzie? Do kogo? - pyta zażywna kobieta w biurze pracy. -
Sprzątanie odpada. Za bardzo ci się ręce trzęsą. Co robiłaś w Polsce?

- Byłam pielęgniarką - kłamie kobieta.

- Akurat! Ale okej. Jest jedna robota, której nikt nie chce. To praca
siedem dni w tygodniu z zamieszkaniem. Chuda jesteś, ale dasz radę. Zapłać mi
prowizję i idź. Tu masz adres. Nie nawal.

Idzie. Ann ma dziewięćdziesiąt dwa lata i z pochodzenia jest Polką, a
Tony, jej mąż, dziewięćdziesiąt cztery. Ann ma raka.

Najpierw kobieta sprząta całe mieszkanie ulepione z brudu. Co dzień, z
pomocą Tony'ego, przenosi Ann na wózek, na łóżko i z powrotem. I tak przez

pół roku. Już nie wytrzymuje. W spizarni tyle nalewek. Upija się co noc. Ann robi pod siebie. Kobieta sprząta. Bierze też tabletki, które przepisano Ann.

Jakieś dziwne, dostaje po nich szczękościsku. Po jakimś czasie Ann biorą do szpitala. Co dwa dni przychodzi jej córka, Mary. Rozmawiają, siedząc w kuchni. Pewnego dnia Mary dzwoni.

- Katie, nie mów Tony'emu, chodź do szpitala.

Ann leży w łóżku z zamkniętymi oczami. Mary kładzie dłoń na dłoni matki, a ta mocno chwyta rękę, nie puszcza.

- Marno, puść, no puść... - mówi ze złością Mary, ale musi odrywać palce. I odchodzą. Tak łagodnie odpadają...

- Nie mów Tony'emu! - prosi Mary. - Jeszcze nie.

Nie mówi.

Nie gasi światła.

W nocy przychodzi Tony.

- Ktoś pukał do moich drzwi? To ty?

- Nie, nie ja, połóż się.

Sama już nie zaśnie. Kto pukał?! Idzie do spizarni, jeszcze jest jakaś nalewka. Długo śpi.

Rano znajduje Tony'ego ubranego, ale wszystko na lewą stronę. Cała łazienka zabrudzona. Tony ze szmatką:

- Jato posprzątam. Sam.

Po chwili starzec przechodzi do pokoju.

Tony patrzy na nią. Nic nie mówi.

- Muszę, Tony... Wybacz.

Zostawia go w fotelu, w którym zawsze ogląda telewizję. Ma łyzy w oczach. Ona też.

Ale przykro mi, nie wytrzymam tu dłużej!

Ten samolot tak długo leci... Wraca grubsza o dwadzieścia kilogramów, nikt na nią nie czeka.

Taksówka.

Chryste... Mieszkanie puste... ogołocone, nawet łyżeczki do herbaty zabrał. Pisała do niego, choć nie odpowiadał. Myślała, że jest na nią zły, bo uciekła. Teraz już wie, czemu nie odpisywał.

Siada na walizce. Ta biżuteria, którą przywiozła, celniczka amerykańska określiła "junk".

Śmieci - sześć.

Pusto - pięć.

Odszedł - siedem.

Wychodzi na balkon. Za nisko.

Niczego się nie nauczyła. Tylko lęku nabrała jak wody w usta.

Jeszcze chwila, jeszcze kilka takich godzin, dni i zwymiotuje. Puści pawia na całą teraźniejszość, tę prawdziwą i tę wyimaginowaną.

„Życie jest nieprzewidywalne, kochanie. Na nic nie masz wpływu...”, szeptała w jej głowie. Czyj?

Wraca do przeszłości, czepia się tego, co minęło, jak głodny kleszcz ciepłego ciała.

Wie, że nie ma czasu. Nikt nie ma.

Kiedyś żyła wyłącznie przyszłością. Teraz się jej boi. Kiedyś miała imię.

Przypomniała je sobie, siedząc w ciemnościach na walizce. Kasika Mowka. To ja. Czy chcę tego, czy nie.

W dawnym mieszkaniu już nie ma lokatora. Sam wyjechał za granicę i zostawił jej klucze u sąsiada od węgla. Otwiera drzwi, wszystko jest tak, jak zostawiła. Pokój z książkami, kufer.

Wchodzi do łazienki. Do wanny. Staje w ubraniu.

- Babciu. Przyjdź. Wiem, że tu jesteś. Nie wygłupiaj się. Zimno mi. Czekam.